

Wyścig ku śmierci

Alistair MacLean



calibre 0.9.27

Wyścig ku śmierci.

Rozdział pierwszy

Harlow siedział na poboczu toru wyścigowego. Długie włosy powiewające na lekkim wietrze ożywiającym ten upalny, bezchmurny dzień prze mu twarz, a jego dłonie, ściskające złoty kask, jak gdyby próbowały go zmiażdżyć, drżały nieopanowanie. Całym ciałem kierowcy wstrząsały gwałtowne dreszcze.

Samochód, z którego Harlow cudem jakimś wyleciał bez większych obrażeń tuż przed wywrotką, przedziwnym zrzędzeniem losu wylądował na dachu we własnym boksie Coronado. goła wozu obracały się leniwie, a z silnika spowitego w pianę z gaśnic wydobywały się smugi dymu - wszystko wskazywało na to, że niebezpieczeństwo wybuchu zbiorników paliwa zostało zażegnane.

Alex Dunnet, który pierw dopadł Harlowa, stwierdził, że kierowca nie patrzy na swój bolid, lecz niczym w transie wpatruje się w oddalony o jakieś dwieście metrów punkt na torze, gdzie Iask Jethou dopala się w białych płomieniach stosu pogrzebowego, będącego niegdyś jego samochodem wyścigowym Formuły I. Z płonącego wraka ulatywało dziwnie mało dymu, prawdopodobnie na skutek olbrzymich ilości ciepła wydzielanego przez rozżarzone felgi ze stopu magnezu.

Od czasu do czasu, kiedy powiewy wiatru rozsuwały niebotyczną osłonę płomieni, można było dostrzec Jethou, siedzącego w fotelu, który na pierwszy rzut oka był jedyną ocalałą częścią pozostałą ze zmia-

żdzonej, masy pogiętej stali. A ściślej mówiąc, Dunnet zdawał sobie sprawę, że to Jethou, chociaż widział jedynie szerniałe zwęglone szczątki czegoś, co kiedyś było człowiekiem.

Tysiące widzów siedzących na trybunach i po obu stronach toru zamrły, z niedowierzaniem i przerażeniem wpatrując się w płonący samochód. Dziewięć pojazdów zatrzymało się już w pobliżu boksów

- niektórzy kierowcy wysiedli i stali obok swoich maszyn-tałych zgasły, wtedy komisarze toru przerwali wyścig, rozpaczliwie wymachując flagami.

Zamilkły megafony, ucichł też zawodzący jęk syreny karetki pogotowia, która z piskiem opon wyhamowała w bezpiecznej odległości od samochodu Jethou. Migające światła karetki zapadły się w nicość na tle oślepiającego blasku. Ratownicy w azbestowych kombinezonach ochronnych, obsługujący gigantyczne gaśnice na kółkach lub uzbrojeni w łomy i siekiery, z powodów wymykających się wszelkiej logice desperacko usiłowali przedostać się do samochodu, by wydobyć

zwęglone ciało, lecz niesłabnąca intensywność płomieni kpiła sobie z ich desperacji. Wysiłki ratowników były równie bezowocne, co obecność karetki zbędna. Dla Jethou nie było już na tym świecie pomocy ni nadziei.

Dunnet odwrócił wzrok i spojrział w dół, na siedzącą obok postać w kombinezonie. Ręce ściskające złoty kask nadal drżały, oczy zaś, wciąż wpatrzone w słup płomieni całkowicie zasłaniających już samochód Isaaka Jethou, przypominały oczy orła, który stracił wzrok. Dunnet wyciągnął rękę i łagodnie potrząsnął Harlowa za ramię, a kiedy ten nie zareagował, Dunnet spytał go, czy nie jest ranny - twarz i roztrzęsione ręce kierowcy były zalane krwią: katapultując w ostatniej chwili, nim jego wóz stanął na dachu i zatrzymał się we własnym boksie Coronado, przeokoziółkował przynajmniej z sześć razy. Harlow drgnął

i spojrział na Dunneta, mrugając niczym człowiek otrząsający się z sen-nych majaków, po czym potrząsnął głową.

Dwaj sanitariusze z noszami wyskoczyli z karetki i puścili się biegiem w ich kierunku, lecz Harlow, jeśli nie liczyć Dunneta, który trzymał go pod ramię, wstał o własnych siłach i chwiejąc się, odprawił ich ruchem ręki. Pomoc Dunneta przyjął bez protestów i obaj ruszyli powoli ku boksom Coronado - wciąż oszołomiony i otepiały Harlow oraz Dunnet : wysoki i szczupły, z ciemnymi włosami uczesanymi z przedziałką, cienkim jak kreska czarnym wąsem i w okularach bez oprawek; wy-głądał jak stereotyp księgowego, choć jeśli wierzyć jego dokumentom, był dziennikarzem.

U wejścia do boksów powitał ich MacAlpine. Ubrany w poplamiony garnitur z gabardyny, trzymał w ręku gaśnicę. James MacAlpine, właś-

ciciel i menedżer stajni wyścigowej Coronado, był tuż po pięćdziesiąt-ce. Potężnie zbudowany, o wydatnych szczękach, miał pooraną głębokimi zmarszczkami twarz pod imponującą grzywą szpakowatych wło-sów. Za jego plecami Jacobson, główny mechanik, wraz z dwoma pomocnikami - rudymi bliźniakami Rafferty, których wszyscy nie wiadomo czemu nazywali zawsze Tweedledum i Tweedledee - nadal krzętałi się wokół dymiącego coronado, a jeszcze dalej dwaj inni ludzie, odziani w białe fartuchy sanitariuszy, zajmowali się ważniejszymi sprawami: na ziemi, wciąż ściskając notes i ołówek do zapisywania międzyczasów, leżała Mary MacAlpine - czarnowłosa, dwudziesto-dwuletnia córka właściciela zespołu. Sanitariusze pochylali się nad jej lewą nogą i rozcinali nogawkę czerwonych jak wino spodni, które jeszcze przed chwilą były białe. MacAlpine ujął Harlowa pod ramię, specjalnie zasłaniając swoim ciałem córkę i poprowadził kierowcę do niewielkiego pomieszczenia w głębi boksów. Jak przystało na milionera, MacAlpine był nadzwyczaj zdolny, fachowy i twardy, a przy tym - co wychodziło na jaw w takich właśnie sytuacjach - w głębi duszy wraź-

liwy i subtelny, choć nikt by go o to nie podejrzewał.

W pomieszczeniu stała nieduża drewniana skrzynia, służąca za przenośny barek. Większą jej część zajmowała lodówka, zawierająca kilka butelek piwa i masę napojów orzeźwiających, przeznaczonych głównie dla mechaników, wiecznie spragnionych przy pracy pod palącym słoń-

cem. Mroziły się w niej także dwie butelki szampana, gdyż - na zdro-wy rozum - należało oczekiwać, że człowiek, który dokonał rzeczy prawie niemożliwej, zdobywając pięć kolejnych Grand prix, wygra po raz szósty. Harlow uniósł wieko skrzyni, zignorował lodówkę, wyciąg-nął butelkę brandy i nalał sobie pół szklanki. Szyjka butelki uderzała gwałtownie o szkło - więcej trunku wylało się na ziemię, niż trafiło do naczynia. Harlow potrzebował dwóch rąk, by podnieść szklankę do ust, a jej

brzeg, niczym kastaniety, wybijał o jego zęby jeszcze bardziej nierówny rytm niż butelka o szkło. Przełknął nieco alkoholu, jednak większa część zawartości szklanki wyciekła mu kącikami ust, spływała po zakrwawionych policzkach i plamiła jego biały kombinezon nadając mu dokładnie ten sam kolor, co barwa spodni rannej dziewczyny. Harlow spojrział zamroczonym wzrokiem na pustą szklankę, opadł na ławę i znów sięgnął po butelkę.

MacAlpine z kamienną twarzą zerknął na Dunnet. W swojej karierze Harlow miał trzy poważne wypadki, przy czym w ostatnim, przed dwoma laty, omal nie zginął. R jednak, pomimo nieopisanego bólu, uśmiechał się, gdy ładowano go na noszach do samolotu ratunkowego, któ-

rym miał wrócić do Londynu; jego lewa ręka z zadartym w górę kciukiem - prawą miał złamaną w dwóch miejscach - była nieruchoma niczym wyrzeźbiona z marmuru. ale znacznie większy niepokój budził

fakt, że poza tradycyjnym łykiem szampana po zwycięstwie Harlow nie brał alkoholu do ust.

Oni wszyscy tak kończą, twierdził zawsze MacAlpine, prędzej czy później tak kończą wszyscy. Rozsądek, odwaga czy talent nie odgrywają tu żadnej roli - tak kończą wszyscy, a ich lodowaty spokój i opanowanie są tym bardziej kruche, im bardziej stalowe. MacAlpine nie stronił

od pozornie paradoksalnych stwierdzeń, mimo iż garstka - lecz tylko garstka - wybitnych kierowców Grand prix wycofała się u szczytu psychicznej i fizycznej formy, co w zasadzie obalało jego tezę. Z drugiej strony tajemnicą poliszynela było, że niektórzy czołowi kierowcy, na skutek wypadków lub krańcowego wyczerpania nerwowego i psychi-cznego, są jak puste skorupy, że pośród obecnych dwudziestu czterech kierowców Formuły I jest czterech czy pięciu, którzy nigdy więcej nie wygrają żadnego wyścigu, ponieważ nie mają nawet zamiaru próbo-wać, a ścigają się wyłącznie po to, by podbudować fasadę swej pustej już dumy. Pewnych rzeczy nie praktykuje się jednak w światku Formuły I, a zwłaszcza nie skreśla się człowieka z listy kierowców tylko dlatego, że wysiadły mu nerwy.

Tak czy inaczej widok roztrzęsionej, zgarbionej postaci na ławie był

smutnym świadectwem tego, że MacAlpine zazwyczaj miał rację. Jeżeli ktokolwiek wspiał się na sam szczyt kariery, osiągnął i przekroczył

granice ludzkiej wytrzymałości, nim stoczył się w otchłań samozagłady i przygnębiającej świadomości ostatecznej porażki, to właśnie Johnny Harlow, złoty chłopak torów wyścigowych, jeszcze do tego popołudnia bez wątplenia najwybitniejszy kierowca swoich czasów i - jak coraz częściej sugerowano - wszechczasów. Wyglądało jednak na to, że wola i nerwy Harlowa, choć bez problemu zdobył mistrzostwo w ze-szłym roku i miał na dobrą sprawę niemal zapewniony tytuł tegoroczny

- chociaż sezon wyścigowy był dopiero na półmetku - rozpadły się na dobre. MacAlpine i Dunnet złe mieli wątpliwości, że zwęglona postać, która niegdyś była Isaa l dem Jethou, będzie go prześladować po kres jego dni.

Choć z drugiej strony, już wcześniej zapowiadały ten kryzys pewne o_t_, wyraźne dla tych, którzy mieli oczy wystarczająco otwarte-a więc dla większości kierowców i mechaników Formuły I. Począwszy od drugiego w tym sezonie wyścigu Grand prix, który Harlow wygrał

łatwo i przekonywająco, nieświadom faktu, że jego utalentowany młodszy brat wyleciał z toru i skrócił swój samochód do jednej trzeciej, uderzając w pień sosny z prędkością około dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, trudno było nie zauważyć pewnych symptomów.

Harlow, z natury niezbyt towarzyski, stał się teraz jeszcze bardziej zamknięty, jeszcze bardziej małowówny, a jeśli już się uśmiechał, co zdarzało się rzadko, był to pusty uśmiech człowieka, który nie widzi w życiu powodów do radości. On, który wykazywał największą rozwagę, wręcz przesadną dbałość o bezpieczeństwo zatracił nieskazitelny styl jazdy, a właściwa mu obsesja na punkcie bezpieczeństwa malała w przerażającym tempie, jednocześnie zaś, jakby na przekór wszy-stkiemu, konsekwentnie zaczął bić rekordy torów w całej Europie. Zdobywał jedno Grand prix za drugim, tyle tylko, że on i jego rywale płacili za to coraz wyższą cenę. Zaczął jeździć brawurowo, niebezpiecznie, aż w końcu wystraszył pozostałych kierowców - również twar-dych i zahartowanych w bojach - do tego stopnia, że zamiast walczyć z nim jak dotąd o każdy wiraż, nabrali zwyczaju zjeżdżania na bok, widząc we wstecznym lusterku, że dogania ich jasnozielone coronado.

_na sprawa, że nie zdarzało się to zbyt często, ponieważ Harlow miał

nadzwyczaj prostą formułę na wygrywanie wyścigów: wyjść na czoło i tak trzymać.

Od pewnego czasu coraz częściej słychać było głosy, że jego samobójcze zachowanie na torach to nie walka z rywalami, lecz z samym sobą. Coraz bardziej oczywisty, ostatnio wręcz tragicznie oczywisty, stawał się fakt, że tej wojny Harlow nie wygra, że ta walka na śmierć i życie z zawodzącymi nerwami może mieć tylko jeden koniec, że pewnego dnia szczęście go opuści. I opuściło, tak jak opuściło Isaaka Jethou, a Johnny Harlow, na oczach całego świata, przegrał swą ostatnią bitwę na torach wyścigowych Europy i Ameryki. Nie można było wy-kluczyć, że stanie jeszcze na torach, że zacznie walczyć. On jednak najlepiej zdawał sobie sprawę, że dni jego walki już minęły.

Sięgnął po brandy po raz trzeci, jeszcze bardziej roztrzęsionymi rę-

kami. Pełna przed chwilą butelka była już w jednej trzeciej pusta, lecz tylko znikoma część jej zawartości trafiła do gardła Harlowa, tak nie-zborne były jego ruchy. MacAlpine popatrzył z grobową miną na Dunnet, wzruszył barczystymi ramionami ni to w geście rezygnacji, ni to zrozumienia i wyrztał z boksów. Właśnie podjechała karetka po jego córkę. MacAlpine pośpieszył na zewnątrz, Dunnet zaś wziął gąbkę i ku-bełek z wodą i zaczął obmywać twarz Harlowa. Harlow sprawiał wrażenie, jakby mu to było obojętne. Trudno powiedzieć, o czym myślał, choć w tych okolicznościach jedynie idiota mógłby mieć co do tego wątpliwości; całą uwagę poświęcił zawartości butelki marteña: typowy okaz męzczyzny, który na gwałt szuka natychmiastowego zapomnienia.

Na szczęście ani Harlow, ani MacAlpine nie zauważyli postaci stojącej tuż za drzwiami, której wyraz twarzy wskazywał niedwuznacznie, że z niemałą przyjemnością pomogłaby Harlowowi

przenieść się w stan wiecznego zapomnienia. Rory, syn MacAlpine'a, młodzieniec o ciemnych kręconych włosach i miłym, pogodnym usposobieniu, spoglądał

na kierowcę z miną niczym chmura gradowa. Jak na kogoś, kto przez lata, nawet jeszcze przed kilkoma minutami, uważał Harlowa za swego idola, była to reakcja przedziwna. Wszystko stało się jednak jasne, gdy Rory łypnął spode łba na karetkę pogotowia, w której leżała jego nie-przytomna, zakrwawiona siostra. Odwrócił się i znów spojrzął na Harlowa, a wyraz jego oczu oddawał nienawiść w takim stopniu, jak jest to możliwe tylko u szesnastolatka.

Komisja powołana do wyjaśnienia przyczyny wypadku, która wszczę-

ła śledztwo niemal natychmiast, nie oskarżyła nikogo o spowodowanie katastrofy. Można się było tego spodziewać - w takich sytuacjach oficjalne werdykty prawie zawsze brzmiały tak samo, nawet po osławionym dochodzeniu w sprawie bezprecedensowej masakry w Le Mans, kiedy to zginęło siedemdziesięciu trzech widzów, a nie znaleziono winnego, mimo iż powszechnie było wówczas wiadomo, że to wyłącznie jeden, jedyny człowiek - dziś już nieżyjący - ponosił całą odpowiedzialność.

W tym konkretnym wypadku także nie oskarżono nikogo, chociaż dwa lub trzy tysiące ludzi zgromadzonych na głównej trybunie bez wahania obarczyłoby wyłączną winą Johnny'ego Harlowa. Jednak dowody o dużo większej wadze ujawniono w małej sali, w której do śledztwa wykorzystano zapis filmowy z utrwalonym momentem wypadku.

Ekran był mały i brudny, lecz obraz wystarczająco wyraźny, a efekty dźwiękowe aż nazbyt realne i żywe. Na powtórce filmu - trwał on zaledwie dwadzieścia sekund, lecz wyświetlano go pięć razy - widać było zbliżające się do boksów trzy samochody, śledzone od tyłu przez teleobiektyw. Harlow, w swoim coronado, doganiał prowadzący samochód - prywatnie zgłoszone ferrari koloru czerwonego wina, prowadzące tylko dlatego, że straciło już jedno okrążenie. Jeszcze szybciej od Harlowa, trzymając się drugiej strony toru, pędziło fabrycznie wystawione, jaskrawoczerwone ferrari znakomitego kierowcy z Kalifornii, Isaaka Jethou. Na prostej dwanaście cylindrów bolidu Jethou miało znaczną przewagę nad ósmioma w samochodzie Harlowa i Amerykanin najwyraźniej zamierzał wyprzedzić. Wydawało się, że Harlow także zdawał sobie z tego sprawę, gdyż światła stopu jego wozu zapaliły się, jak gdyby miał zamiar lekko zwolnić i schować się za wolniejszym samochodem, gdy Jethou będzie go wyprzedzał.

O dziwo, ni stąd, ni zowąd światła stopu zgasły, a coronado odbiło gwałtownie w bok, jak gdyby Harlow uznał, że zdąży wyprzedzić jadą-

cy przed nim samochód, nim Jethou wyprzedzi ich obu. Jeżeli faktycznie powziął tak zupełnie niepojęty zamiar, to popełnił największy, życiowy błąd, ponieważ wprowadził swój samochód dokładnie na tor jazdy Jethou, który na tej prostej rozwijał prędkość nie mniejszą niż trzysta kilometrów na godzinę i w tym ułamku sekundy nie miał nawet cienia szansy na wyhamowanie czy skręt.

W momencie kolizji przednie koło wozu Jethou uderzyło prostopadle w bok przedniego koła bolidu Harlowa. Trzeba przyznać, że dla Harlowa skutki tego zderzenia były dosyć poważne - coronado

wpadł

w niekontrolowany poślizg - ale dla Jethou były katastrofalne. Nawet poprzez kakofoniczne wycie pracujących na maksymalnych obrotach silników i pisk zablokowanych kół wybuch przedniej opony wozu jet-hou dał się słyszeć niczym wystrzał z karabinu i praktycznie już w tym momencie Kalifornijczyk pożegnał się z życiem. Jego całkowicie pozbawione kontroli ferrari, niczym bezmyślne, mechaniczne monstrum pędzące do samozagłady, wyrznięto w bliższą bandę ochronną i miota-jąc smugi czerwonych płomieni i czarnego, oleistego dymu, odbiło się od niej i jak szalone przeleciało przez tor, uderzając tyłem w bandę po drugiej stronie, wciąż jeszcze z prędkością ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Wirując wściekle, ferrari przeleciało po torze ze dwieście metrów, przekoziołkowało dwukrotnie i zatrzymało się na wszystkich czterech kołach, a Jethou wciąż siedział uwięziony w fotelu, chociaż z całą pewnością już nie żył. W tej samej chwili czerwone płomienie zmieniły się w białe.

Bezpośrednia wina za śmierć Jethou nie podlegała dyskusji, lecz Harlow, który w ciągu siedemnastu miesięcy wygrał jedenaście wyścigów, był - z definicji i wyników - najlepszym kierowcą na świecie, a najlepszych kierowców świata nie oskarża się o błąd w sztuce. Tego się po prostu nie robi. Całe to tragiczne wydarzenie przypisano więc działaniu siły wyższej i dyskretnie opuszczono zasłonę, dając znak, że seans dobiegł końca.

Rozdział drugi

Te uczucie nie leży w charakterze Francuzów, z w lach pełnego relaksu i odprężenia, nic więc dziwnego, że zwarty tłum w Clermont-Ferrand - tego dnia wyjątkowo spięty i nad wyraz pobudliwy - daleki był od łamania tej typowo romańskiej tradycji. Kiedy Harlow nie tyle szedł, co włókł się ze spuszczoną głową ku boksom Coronado, widzowie w całej pełni ujawnili swe zdolności wokalne. Ich gwizdy, wycie, posykiwanie oraz zwykłe okrzyki gniewu, którym towarzyszyło j g_ijsltie wygrażanie pięściami, brzmiały równie złowieszczo, co przerażająco. Była to nie tylko nieprzyjemna scena - wyglądało na to, że najmniejsza ślderka może wywołać zamieszki i przekształcić mśd-woêE tłum w prawdziwy atak na Johnny'ego Harlowa. Tego przede wszystkim obawiali się policjanci. Ale choć przysunęli się do Harlowa, by w razie potrzeby zapewnić mu należytą ochronę, wyraz ich twarzy jasno dowodził, że wypełniają obowiązek bez przyjemności, sposób zaś, w jaki odwracali głowy od kierowcy, że dzielają uczucia rodaków.

Kilka kroków za Harlowem, w towarzystwie Dunneta i MacAlpine'a, szedł inny mężczyzna __, który najwyraźniej dzielając z_e widzów i po-licjantów. Gniewnie wywijał __ za _ek kas)_em. Miał na sobie identyczny kombinezon co Harlow - Nicolo Tracchia był bowiem kierowcą numer dwa w zespole Coronado. Nieprzyzwoicie przystojny, ciemne kręcone włosy, lśniące doskonałe zęby, których żaden fabrykant pasty do zębów nie ośmieliłby się wykorzystać do celów reklamowych, oraz opaleniznę, na widok której meleniałby każdy ratownik. W tym momencie nie wyglądał jednak zbyt radośnie, a to dlatego, że krzywił się nie miłosiernie - s_wetne miny Tracchü były zja-wiskiem pozostawiającym niezatarte wspomnienie, stosowanym nie-ustannie i wzbudzającym szacunek, __ obawę lub zgoła strach, lecz nigdy nie ignorowanym. Tracchia miał szczególne zdanie o bliźnich i większość ludzi, a zwłaszcza pozostałych kierowców Formuły I, uważał za opóźnione w rozwoju dzieci.

Zrozumiałe więc, że obracał się w wąskim kręgu towarzyskim. Doskonale zdawał sobie sprawę, że - pomimo wybitnego talentu do kierownicy - jest jednak trochę gorszy od Harlowa, co nie polepszało jego samopoczucia, a świadomość, że nawet największe, najbardziej rozpaczliwe wysiłki z jego strony nigdy nie zmniejszą tej różnicy, dolewało tylko oliwy do ognia. Zwracając się teraz do MacAlpine'a nie starał się nawet ściszyć głosu, co w tych warunkach i tak nie miało zresztą znaczenia, jako że Harlow nie mógł go usłyszeć poprzez wycie tłumy, ale Tracchia nie ściszyłby głosu bez względu na okoliczności.

- Siła wyższa! - Zaprawione goryczą niedowierzenie w jego głosie było jak najbardziej autentyczne.
- Jezu Chryste! Słyszeliście, co orzekli ci kretyni? Siła _! Według mnie to zwyczajne morderstwo!

- O nie, chłopcze, nie. - MacAlpine położył dłoń na ramieniu Tracchi, który strząsnął ją gniewnie. MacAlpine westchnął. - W najgorszym razie to zabójstwo. A nawet i to nie. Sam wiesz, ilu kierowców zginęło w ciągu ostatnich czterech lat tylko z powodu defektów maszyn.

- Z powodu defektów! Też coś! - Tracchia, któremu na chwilę zabrakło słów, popatrzył w górę z niemym wezwaniem. - Wielkie nieba, Mac, wszyscyśmy to widzieli na ekranie. Widzieliśmy to pięć razy.

Zdjął nogę z hamulca i wyskoczył wprost przed Jethou. Siła _!

Jasne, jasne. Jasne, że to siła wyższa, bo wygrał jedenaście Grand prix w ciągu siedemnastu miesięcy, bo zdobył mistrzostwo w zeszłym roku i zanoszą się na to, że w tym roku to powtórzy!

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wiesz doskonale, co chcę przez to powiedzieć. Jak go zdejmiecie z torów, to równie dobrze możecie zdjąć i nas wszystkich. To on jest mistrzem, nie? Skoro on jest taki zły, to co tu gadać o innych? My wiemy, że tak nie jest, ale kibice? Co oni o tym wiedzą, do ciężkiej cholery. Bóg świadkiem, że już i tak za dużo ludzi, i to cholernie wpływo-wych, domaga się zlikwidowania wyścigów Formuły I i za dużo krajów czeka tylko na stosowny pretekst, żeby się wycofać. To by dopiero był

pretekst! Wreszcie by mieli swoją życiową szansę. Potrzebujemy takich Harlowów, prawda, Mac? Nawet jeżeli od czasu do czasu kogoś zabijają.

- Zdawało mi się, że jesteście przyjaciółmi, Nikki?

-Jasne, Mac. Jasne, że jesteśmy przyjaciółmi. Ale Jethou też był

moim przyjacielem.

MacAlpine nie znalazł na to odpowiedzi, toteż nic nie odrzekł. Wyglądało na to, że Tracchia powiedział już, co miał do powiedzenia, gdyż zamilkł i znów zaczął łypać

spode łba. W milczeniu, bezpiecznie

- policyjna eskorta powiększała się z każdą chwilą - czterej mężczy-

źni dotarli do boksów Coronado. Nie zaszczycając nikogo spojrzeniem, ani słowem, Harlow ruszył do małego pomieszczenia na tyłach. Nikt

- a byli tam także Jacobson i jego dwaj pomocnicy - nie spróbował

odezwać się do niego ani go zatrzymać, nikt nawet nie bawił się w rzu-
canie znaczących spojrzeń - faktów oczywistych nie trzeba dodatkowo podkreślać. Jacobson zignorował go całkowicie i podszedł do MacAlpine'a. Główny mechanik - uchodzący powszechnie za geniusza - był

smukłym, wysokim, silnie zbudowanym mężczyzną. Miał ciemną, poorly głębokimi zmarszczkami
twarz, sprawiającą wrażenie, jakby nie uśmiechała się już od dłuższego czasu i jakby teraz też nie
zamierzała zrobić wyjątku.

- Harlow jest oczywiście czysty - powiedział.

- Oczywiście?! Nie rozumiem.

- Czyżbym musiał to panu tłumaczyć? Oskarżyć Harlowa to cofnąć ten sport o dziesięć lat. Za dużo
milionów w to wpakowano, żeby można było do tego dopuścić. Nie mam racji, panie MacAlpine?

MacAlpine spojrzał na niego z namysłem, nie odpowiedział, zerknął

szybko na wciąż rozwścieczonego Tracchię, odwrócił się i podszedł do zgruchotanego, osmalonego
coronado Harlowa, które postawiono już z powrotem na kołach. Przypatrzył mu się leniwie, niemal
kontemp-lacyjnie, nachylił nad fotelem, przekręcił nie stawiającą oporu kierownicę i wyprostował
się.

- Hmm - mruknął. - Tak się zastanawiam. . .

Jacobson popatrzył na niego zimno. Jego gniewne oczy budziły nie mniejsze onieśmielenie i lęk niż
miny Tracchii.

- To ja przygotowałem ten wóz, panie MacAlpine - powiedział

z naciskiem.

Milioner wzruszył ramionami i zamilkł na dłuższą chwilę.

- Wiem, Jacobson, wiem. Wiem także, że jesteś najlepszy w branży.

Ale wiem i to, że siedzisz w tym fachu zbyt długo, żeby gadać bzdury.

Każdy samochód może wysiąść. ile ci to zajmie?

- Mam zacząć zaraz?

- Tak.

- Cztery godziny - rzucił Jacobson. Wziął sobie ten afront do serca. - Co najwyżej sześć.

MacAlpine skinął głową, wziął Dunneta pod rękę i ruszył do wyjścia, lecz nagle zatrzymał się. Tracchia i Rory stali na uboczu, rozmawiając szeptem. MacAlpine nie słyszał, o czym mówią, ale nie musiał - jawna wrogość, malująca się na ich twarzach, kiedy spoglądali na Harlowa trzymającego butelkę brandy, była wystarczająco wymowna. Szef Coronado, wciąż trzymając Dunneta pod rękę, oddalił się i znów westchnął.

- Johnny nie ma dziś jakoś wielu przyjaciół, zauważyłeś?

- Nie ma ich już od dawna. A oto, zdaje się, następny, z którym się dziś nie zaprzyjaźni.

- Jezu kochany! - Wzdychanie najwyraźniej weszło MacAlpine'owi w krew. - Wygląda na to, że Neubauer mocno się czymś gryzie.

Rzeczywiście wszystko wskazywało na to, że mężczyzna w błękitnym kombinezonie, zmierzający ku boksom, mocno się czymś gryzie. Neubauer był wysoki, o bardzo jasnych włosach i typowo nordyckiej aparycji, chociaż faktycznie był Austriakiem. Jako kierowca numer jeden w zespole Cagliari - nazwę miał wypisaną na kombinezonie - doskonałą postawą na torach zdobył sobie reputację księcia wyścigów i nie-uchronnego następcy Harlowa. Tak jak Tracchia, był on chłodnym, nie-przystępnym człowiekiem, nie tolerującym głupoty pod żadną postacią.

Tak jak Tracchia, obracał się w bardzo wąskim kręgu przyjaciół i bliskich znajomych; nie budził więc zdziwienia ani domysłów fakt, że tych dwóch mężczyzn - choć na torach byli najbardziej zażartymi rywalami

- w życiu prywatnym łączy bliska przyjaźń.

Neubauer, z zaciśniętymi wargami i zimnym błyskiem jasnoniebieskich oczu, był najwyraźniej wściekły, a jego humor nie poprawił się, gdy MacAlpine zagroził mu drogę swym masywnym cieleciem. Nie mając wyboru, Neubauer zatrzymał się - był wprawdzie duży, lecz MacAlpine był większy.

- Zejdź mi z drogi! - syknął Austriak przez zaciśnięte zęby.

MacAlpine popatrzył na niego z łagodnym zdumieniem.

- Coś ty powiedział?

- Przepraszam, panie MacAlpine. Gdzie ten sukinsyn Harlow?

- Zostaw go. Nie czuje się najlepiej.

- Za to Jethou czuje się doskonale, co? Nie wiem, kim i czym jest Harlow, i mam to gdzieś. Niby czemu ten maniak miałby wyjść z tego bezkarnie? To jest maniak. Pan o tym wie, wszyscy o tym wiemy. Dzi-siaj dwa razy zepchnął mnie z drogi, mało brakowało, a byłbym się spalił tak jak Jethou. Ostrzegam pana, panie MacAlpine. Mam zamiar zwołać posiedzenie Stowarzyszenia Kierowców Grand prix, na którym wywalą go z torów.

- Jesteś ostatnią osobą, która może sobie na to pozwolić, Willi.-

MacAlpine położył obie ręce na ramionach Neubauera. - Jesteś ostatnią osobą, która może tknąć Johnny'ego. Jak Harlowa zabraknie, to kto zostanie mistrzem?

Neubauer gapił się na milionera. Furia częściowo zniknęła z jego twarzy. Oszołomiony, spoglądał na MacAlpine'a z niedowierzaniem.

Gdy wreszcie odzyskał głos, zdobył się ledwie na cichy, niepewny szept.

- Pan uważa, że ja bym to zrobił z takiego powodu, panie Macalpine?

- Nie, WiBi. Po prostu zwracam ci uwagę, że tak właśnie myślałaby większość ludzi.

Nastąpiła dłuższa cisza, w trakcie której resztki gniewu opuściły Neubaiera.

- To zabójca - stwierdził Austriak spokojnie. - On znów kogoś zabije. - Delikatnie uwolnił się od dłoni MacAlpine'a i wyszedł z boksów. Zamyślony Dunnet obserwował go zatroskanym wzrokiem.

- On może mieć rację, James. Fakt, że Harlow wygrał pod rząd pięć ostatnich wyścigów, ale odkąd jego brat zginął podczas Grand prix Hiszpanii. . . no, sam wiesz.

- Ma pięć kolejnych Grand prix za sobą, a ty mi chcesz wmówić, że go opuściły nerwy?

- Nie wiem, co go opuściło. Po prostu nie wiem. Wiem tylko tyle, że najbardziej ostrożny z kierowców zaczął jeździć tak ryzykownie i niebezpiecznie, czy - jeśli wolisz - z tak samobójczą brawurą, że inni kierowcy zwyczajnie się go boją. Dają mu wolną drogę, bo wolą żyć niż walczyć z nim o każdy metr. Tylko dlatego on wciąż wygrywa.

MacAlpine spojrzał na Dunnetta uważnie i niespokojnie potrząsnął

głową. To on, MacAlpine, był uznanym ekspertem, a nie Dunnet, ale miał jak najlepsze mniemanie o swoim przyjacielu i jego opiniach. Dunnet był niebywale bystrym, zdolnym i inteligentnym dziennikarzem, naprawdę dużej klasy, który z komentatora politycznego przerzucił się na sport, a to z tej prostej przyczyny, że polityka jest najnudniejszą rzeczą pod słońcem. Nikt nie podważał słuszności jego rozumowania.

Przenikliwość i godny podziwu dar spostrzegawczości i logicznego analizowania, które wcześniej czyniły z niego tak groźną postać na scenie Westminsteru, Dunnet bez trudu i z dużym sukcesem przeniósł na tory wyścigowe. Jako stały korespondent brytyjskiego dziennika o zasięgu ogólnokrajowym i dwóch czasopism motoryzacyjnych, brytyjskiego i amerykańskiego (choć jako wolny strzelec zadziwiająco dużo dorabiał na boku), szybko zdobył sobie markę jednego z nielicznych, rzeczywiście najwybitniejszych dziennikarzy zajmujących się sportem samochodowym. Dokonanie tego w okresie nieco ponad dwóch lat by-

ło, czego by nie mówić, wybitnym osiągnięciem. W rezultacie Dunnet wzbudził swoim sukcesem zazdrość i niezadowolenie, żeby nie powiedzieć jawny gniew, sporej gromadki swych mniej uzdolnionych kolegów po piórze.

Ich niepochlebnego zdania o nim nie poprawiał fakt, że - jak to cierpko określali - niczym pijawka przyssał się na stałe do zespołu Coronado. Wprawdzie żadne pisane czy niepisane prawa nie ograniczały możliwości takiej współpracy, jako że dotychczas żaden niezależny dziennikarz nic podobnego nie próbował, ale teraz, gdy stało się to faktem, koledzy Dunnet'a po piórze narzekali i twierdzili, że tak się nie robi. Do jego obowiązków, jak utrzymywali, należało uczciwe i bezstronne pisanie o wszystkich firmach i wszystkich kierowcach Formuły I, a ich oburzenie bynajmniej nie malało, kiedy wykazywał im, rzeczowo i z niedoścignioną celnością, że właśnie to robi. W rzeczywistości zaś bolało ich to, że Dunnet miał prywatne dojście do zespołu Coronado - wówczas najszybciej rozkwitającej i okrytej największą chwałą firmy związanej z Formułą I. Nie da się jednak ukryć, że artykuły, które napisał częściowo o zespole, lecz przede wszystkim o Harlowie, złożyłyby się na całkiem opasłe tomisko. W dodatku sprawy komplikowało wydanie książki, przy pisaniu której Dunnet współpracował z Harlowem.

-Obawiam się, że masz rację, Alexis - przyznał MacAlpine.

- Właściwie to wiem, że masz rację, ale nawet przed samym sobą nie chcę się do tego przyznać. Wszyscy się go boją: Nawet ja. A teraz jeszcze to.

Popatrzyli na drugą stronę boksów, gdzie Harlow siedział na ławie.

Nie zważając na to, czy go ktoś obserwuje czy nie, Harlow nalał sobie pół szklanki brandy z butelki, która w zawrotnym tempie szybko traciła swą zawartość. Nawet z zamkniętymi oczami można było stwierdzić, że jego ręce wciąż drżą - wprawdzie zgiełk protestów publiczności stopniowo malał, lecz nadal jeszcze utrudniał normalną rozmowę, a mimo to wyraźnie było słychać przypominający kastaniety dźwięk szkła uderzającego o szkło. Harlow szybko pociągnął ze szklanki, oparł łokcie na kolanach i bez zmrużenia oka wpatrywał się pustym wzrokiem w szczą-

tki swojego samochodu.

- A zaledwie dwa miesiące temu nie wiedział jeszcze, co to alkohol

- powiedział Dunnet. - Co masz zamiar zrobić, James?

- Teraz? - MacAlpine uśmiechnął się lekko. - Chcę odwiedzić Mary. Mam nadzieję, że już mnie do niej wpuszczą. - Z kamienną twarzą obrzucił wzrokiem boksy, Harlowa podnoszącego szklankę do ust, rudych bliźniaków Rafferty, na oko równie markotnych co Dunnet, 16 2 - Wyścig ku śmie=ci 17

oraz Jacobsona, Tracchię i Rory'ego, zerkających z podobnym wyrazem oczu w tym samym kierunku, po czym westchnął po raz ostatni i odszedł ciężkim krokiem.

Mary MacAlpine miała dwadzieścia dwa lata, jasną cerę pomimo czę-

stego przebywania na słońcu, wielkie brązowe oczy, błyszczące, zaczesane do tyłu włosy, ciemne jak noc, oraz najbardziej czarujący uśmiech, jaki kiedykolwiek zaszczycał tory wyścigowe. Mary nie stara-

ła się, żeby jej uśmiech był czarujący - po prostu nie miała na to wpływu. Wszyscy w zespole, nawet

małomówny, choleryczny Jacobson, kochali się w niej w ten czy inny sposób, nie licząc groma wielbicieli spoza zespołu. Mary dostrzegała to i przyjmowała z godną uwagi pewnością siebie, lecz bez rozbawienia czy protekcjonalności - protekcjonalność była całkowicie obca jej naturze. W każdym razie uważała okazywane jej względy za naturalne odwzajemnianie względów, jakie okazywała innym. Pomimo swego młodego wieku Mary MacAlpine miała niezwykle trzeźwy i bystry umysł.

Leżąc na łóżku szpitalnym w nieskazitelnie czystym, bezdusznym anty-septycznym pokoju, Mary MacAlpine wyglądała tego dnia jeszcze młodziej niż zwykle. Robiła wrażenie poważnie chorej - i bezsprzecznie była chora. Nienaturalna biel powlekała i tak bladą cerę, a wielkie brązowe oczy, które otwierała tylko na krótko, a i to niechętnie, były zamglone z bólu. Ten sam ból odbijał się w oczach MacAlpine'a, gdy spoglądał na córkę, na jej unieruchomioną łubkami i grubo zabandażowaną lewą nogę, spoczywającą na prześcieradle. MacAlpine nachylił

się i pocałował córkę w czoło.

Śpij dobrze, kochanie - powiedział. - Dobranoc.

Spróbowała się uśmiechnąć.

- Po tych wszystkich pigułkach, które połknęłam? Zasnę na pewno.

Aha, tato. . .

- Tak, kochanie?

- To nie była wina Johnny'ego. Ja wiem, że nie. To samochód, wiem o tym na pewno.

- Właśnie to sprawdzamy. Jacobson rozbiera wóz.

- Przekonacie się. Poprosisz Johnny'ego, żeby do mnie zajrzał?

- Nie dziś, skarbie. Obawiam się, że nie jest z nim najlepiej.

- On... on nie...

- Nie, nie. Szok. - MacAlpine uśmiechnął się. - Dostał te same Pigułki co ty.

- Johnny Harlow? W szoku? Nie wierzę. Miał trzy wypadki, w któ-

rych omal nie zginął, i ani razu. . .

- To na twój widok. - ścisnął jej dłoń. - Wpadnę tu jeszcze wieczorem.

MacAlpine wyszedł z pokoju i ruszył do izby przyjęć. Jakiś lekarz rozmawiał tam z siedzącą przy biurku pielęgniarką. Miał szpakowate włosy, zmęczone oczy i twarz arystokraty.

- Czy to pan opiekuje się moją córką? - zapytał szef Coronado.

- Pan MacAlpine? Tak, ja. Jestem doktor Chollet.

- Wygląda na to, że jest poważnie chora.

- Nie, panie MacAlpine, niech pan się nie obawia. To wpływ środków znieczulających. Wie pan, na ból.

- Rozumiem. Jak długo pozostanie. . .

- Dwa tygodnie. Może trzy. Nie więcej.

- Jedno pytanie, doktorze Chollet. Dlaczego nie trzyma nogi na wy-ciągu?

-Odnoszę wrażenie, panie MacAlpine, że pan nie obawia się prawdy

- Dlaczego nie trzyma nogi na wyciągu?

- Wyciąg stosuje się przy złamaniach kości, panie MacAlpine. Nie-stety, kostka lewej nogi pańskiej córki nie jest po prostu złamana, jest. . .

jak wy to mówicie po angielsku?. . . zdruzgotana, tak, to chyba właściwe słowo, zdruzgotana bez szans na wyleczenie. To, co zostało z kości, trzeba będzie zlepić.

- Czyli że nigdy więcej nie zegnije nogi w kostce? - powiedział

milioner. Chollet pochylił głowę. - Trwałe kalectwo? Na całe życie?

- Może pan zasięgnąć dodatkowej porady, panie MacAlpine. U naj-lepszego specjalisty ortopedy w Paryżu. Ma pan prawo...

- Nie. To niepotrzebne. Prawda jest oczywista, doktorze Chollet.

Trzeba się godzić z faktami.

- Jest mi naprawdę przykro, panie MacAlpine. To urocze dziecko.

Ale ja jestem tylko chirurgiem. Cuda? Nie, nie ma cudów.

- Dziękuję, doktorze. Jest pan bardzo uprzejmy. Wrócę za jakieś. . .

powiedzmy dwie godziny?

- Lepiej nie. Będzie spała co najmniej przez dwanaście godzin, mo-
że nawet szesnaście.

MacAlpine skinął głową i wyszedł.

Dunnet odsunął talerz z nietkniętym jedzeniem, spojrzał na równie nietknięty talerz MacAlpine'a, a potem na samego MacAlpine'a, pogrą-

żonego w zadumie.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy byli tacy twardzi, jak nam się zdawało, James - zagał.

- Starość, Alexis. To zaskakuje każdego.

- Tak. I to, jak widać, zniecka. - Dunnet przysunął sobie talerz, przyjrzał mu się z żalem i znów go odstawił. - Cóż, sądzę, że w każdym razie lepsze to niż amputacja.

-Właśnie. O to chodzi. - MacAlpine odsunął swoje krzesło.

- Chyba się przejdę, Alexis.

- Na apetyt? Nie skutkuje. Przynajmniej w moim wypadku.

- W moim też nie. Ale pomyślałem, że warto sprawdzić, czy Jacobson znalazł coś ciekawego.

Garaż był niezwykle długi, niski, silnie oświetlony zwisającymi z sufitu reflektorami i - jak na garaż - nadzwyczaj czysty i schludny. Dach przebijały liczne świetliki. Kiedy drzwi garażu otworzyły się ze zgrzytem, Jacobson stał w drugim końcu pomieszczenia, pochylony nad zrujnowanym coronado Harlowa. Wyprostował się, skwitował obecność MacAlpine'a i Dunnet'a niedbałym machnięciem ręki i wrócił do oglę-

dzin samochodu.

Dunnet zamknął drzwi.

- Gdzie reszta mechaników? - zapytał spokojnie.

- Powinieneś już wiedzieć, że Jacobson zawsze pracuje sam nad wozami po wypadkach - powiedział MacAlpine. - Nasz Jacobson ma wyjątkowo kiepskie zdanie o innych mechanikach. Twierdzi, że albo przegapiają dowody, albo je zacierają przez nieudolność.

Dwaj mężczyźni podeszli bliżej i w milczeniu przyglądali się, jak Jacobson zaciska złącze przewodu hamulców hydraulicznych. Ale nie byli jedynymi widzami. Dokładnie nad nimi, w otwartym świetliku, silne lampy garażu odbijały się w czymś metalicznym. Była to ośmiomilimetrowa kamera, trzymana w nadzwyczaj pewnych rękach. W rękach Johnny'ego Harlowa. Twarz kierowcy była równie kamienna jak jego ręce, zawzięta i zastygła, lecz zarazem czujna. Harlow był zupełnie trzeźwy.

- I jak? - zapytał MacAlpine.

Jacobson wyprostował się i delikatnie pomasaował obolałe plecy.

-Nic. Kompletnie nic. Zawieszenie, hamulce, silnik, przekładnia, opony, układ kierowniczy. . .
wszystko gra.

- Ale układ kierowniczy. . .

- Ścięty. W wyniku zderzenia, nic innego nie wchodzi w rachubę.

Kiedy Harlow zajechał drogę Jethou, układ kierowniczy wciąż jeszcze był sprawny. Nie powie mi pan chyba, panie MacAlpine, że wysiadł

akurat w tej sekundzie. Przypadki przypadkami, ale to już by była przesada.

- A więc wciąż błądzimy po omacku? - spytał Dunnet.

- Ja nie. Dla mnie wszystko jest jasne jak słońce. Najstarsza przy-czyna w tym fachu. Błąd kierowcy.

- Błąd kierowcy! - Dunnet potrząsnął głową. - Johnny Harlow nigdy w życiu nie popełnił błędu za kierownicą.

Jacobson uśmiechnął się z jadem w oczach.

- Chciałbym usłyszeć, co duch Jethou ma na ten temat do powiedzenia.

- Tracimy tylko czas - przerwał im MacAlpine. - Chodź, Jacobson, wracamy do hotelu. Nawet jeszcze nie jadłeś. - Spojrzał na Dunnet. - Szklaneczka na sen w barze, a potem zajrzemy do Johnny'ego.

- Szkoda zachodu - wtrącił Jacobson. - Będzie sztywny.

MacAlpine popatrzył na Jacobsona w zamyśleniu i po dłuższej chwili stwierdził powoli:

- On wciąż jest mistrzem świata. W Coronado wciąż jest kierowcą numer jeden.

- Więc tak się rzeczy mają?

- A chciałbyś, żeby było inaczej?

Jacobson podszedł do zlewu i zaczął myć ręce. Nie odwracając się, rzucił:

- To pan jest szefem, panie MacAlpine.

MacAlpine nie odpowiedział. Jacobson wytarł ręce i trzech mężczyźni w milczeniu wyszli z garażu, zamykając za sobą ciężkie metalowe drzwi.

Tylko czubek głowy Harlowa i grzbiet jego dłoni wystawały znad szczytowej belki spadzistego dachu, kiedy obserwował trzech męż-

czyn, wychodzących na jasno oświetloną ulicę. Gdy tylko skręcili za róg i zniknęli z widoku, zsunął

się ostrożnie w dół, opuścił przez świetlik do środka garażu i wisiał przez chwilę na rękach, aż namacał stopami metalową poziomą belkę. Rozluźnił uchwyt na obramowaniu świetlika, ryzykownie zabalansował na belce, z zewnętrznej kieszeni wyciągnął małą latarkę - Jacobson zgasił światła przed wyjściem

- i skierował ją w dół. Betonowa podłoga była trzy metry niżej.

Harlow pochylił się, objął belkę rękami, opuścił się na wyciągniętych ramionach i rozluźnił uchwyt. Wylądował lekko i swobodnie, ruszył do drzwi, zapalił wszystkie światła i podszedł wprost do coronado. Na ramieniu miał zawieszony dwa aparaty: ośmiomilimetrową kamerę i miniaturowy aparat fotograficzny z wbudowanym fleszem.

Znalazł brudną szmatę i wytarł nią część prawego zawieszenia, przewód paliwa, drążki kierownicze i jeden z gaźników w komorze silnika.

Korzystając z lampy błyskowej, każdą z tych części sfotografował kilka-krotnie. Znowu wziął szmatę, umazał ją w mieszaninie oleju i kurzu z podłogi, szybko zasmarował sfotografowane części i wrzucił szmatę do metalowej puszki, przeznaczonej do tego celu.

Podszedł do drzwi i szarpnął za klamkę. Bezskutecznie. Drzwi były zamknięte od zewnątrz, a masywna konstrukcja wykluczała możliwość sforsowania ich na siłę - tym bardziej że pozostawienie śladów swojej wizyty było ostatnią rzeczą, o jakiej Harlow marzył. Rozejrzał się szybko po garażu.

Z lewej strony zobaczył lekką drewnianą drabinę, zawieszoną na dwóch wystających ze ściany podpórkach - niewątpliwie używano jej do czyszczenia licznych szyb w świetlikach. Nie opodal, w kącie gara-

żu, leżał brudny zwój liny holowniczej.

Harlow zdjął drabinę ze ściany, przywiązał linę do jej górnego szczebla i oparł drabinę o metalową belkę. Wrócił do drzwi i zgasił światło, po czym z zapaloną latarką w ręku wszedł na drabinę i usiadł okrakiem na belce. Trzymając oba końca liny, manewrował nimi z mozolem, aż wreszcie - nie bez trudności - udało mu się zawiesić drabinę na ścianie. Następnie odczepił linę, zwinął i rzucił w kąt, tam gdzie przedtem leżała. Chwiejąc się niebezpiecznie, stanął wyprostowany na belce, wysunął głowę i ramiona przez świetlik, podciągnął się i zniknął w ciemnościach nocy.

MacAlpine i Dunnet siedzieli samotnie przy stoliku w opustoszałym barze. Milczeli, kiedy barman stawiał przed nimi dwie szkockie. Po odej-

ściu barmana MacAlpine uniósł szklankę i uśmiechnął się niewesoło.

- I tak oto dobiega końca udany dzień. Boże, jaki jestem zmordowany.

- A więc podjąłeś decyzję, James. Harlow dalej startuje.

- Dzięki Jacobsonowi. Nie zostawił mi raczej wyboru, przyznasz?

Harlow biegł jasno oświetloną ulicą, lecz nagle zatrzymał się gwał-

townie. Ulica była całkiem wyludniona, jeśli nie liczyć dwóch wysokich mężczyzn, zmierzających w jego stronę.

Zawahał się, rozejrzał szybko i wcisnął w głęboko cofniętą bramę sklepu. Stał tam bez ruchu, kiedy obaj mężczyźni go mijali. Byli to Nicolo Tracchia - jego kolega z zespołu - oraz Willi Neubauer, po-
grążeni w cichej, lecz burzliwej rozmowie. Żaden z nich nie dostrzegł

Harlowa. Poszli dalej. Harlow wynurzył się z wnęki, ostrożnie rozejrzał

dookoła, poczekał, aż oddalające się plecy Tracchii i Neubauera znikną za rogiem, i znowu puścił się biegiem.

MacAlpine i Dunnet opróżnili szklanki. Szef Coronado zerknął na Dunnet'a pytająco.

- Trudno - powiedział dziennikarz. - Kiedyś chyba musimy stawić mu czoła.

- Pewnie tak - przyznał MacAlpine. Obaj mężczyźni wstali, skinęli głową barmanowi i wyszli.

Harlow szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę jezdni i ruszył

w kierunku jasnego neonu nad wejściem do hotelu. Zamiast skorzystać z głównego wejścia, wszedł w boczną alejkę, skręcił na prawo i zaczął

się wspinać po drabince przeciwpożarowej. Wdrapywał się pewnie jak górską kozicą, po dwa stopnie naraz, ani na moment nie tracąc równowagi. Jego beznamiętna twarz nie wyrażała żadnych uczuć i tylko trzeź-

we, spokojne oczy zdradzały, że myśli intensywnie. Była to twarz zde-terminowanego człowieka, który doskonale wie, co robi.

MacAlpine i Dunnet stali przed drzwiami pokoju numer czterysta dwanaście. Na twarzy MacAlpine'a malowała się przedziwna mieszanka gniewu i z troskania, za to jego towarzysz wydawał się cudownie bez troski. Możliwe zresztą, że była to pozorna bez troska, jako że Dunnet swoje prawdziwe uczucia zwykle skrywał pod płaszczkiem pozorów. MacAlpine bębnił głośno w drzwi. Bez skutku. Szef Coronado spojrział z furią na posiniaczone kostki, zerknął na Dunnet'a i ponowił

atak na drzwi. Dziennikarz stał z kamienną twarzą, powstrzymując się od komentarza.

Harlow dotarł tymczasem do platformy drabinki przeciwpożarowej na czwartym piętrze. Pokonał barierkę, skoczył w stronę najbliższego otwartego okna, zdrów i cały przedostał się na parapet i wszedł do środka.

Znalazł się w małym pokoju. Na podłodze leżała walizka, a jej zawartość wałała się bezładnie dookoła. Lampa na nocnym stoliku oświetlała

swym mizernym światłem pomieszczenie i do połowy opróżnioną butelkę whisky. Harlow zamknął okno przy akompaniamencie gwałtownego bębnienia i łomotania w drzwi. Gniewny głos MacAlpine'a docierał głośno i wyraźnie.

- Otwieraj! Johnny! Otwieraj, bo wywalę te cholerne drzwi!

Harlow schował aparat fotograficzny i kamerę pod łóżko, ściągnął

czarną skórzaną kurtkę i czarny golf i wrzucił je w ślad za kamerą.

Wypił szybko łyk whisky, skropił nią dłonie i przetarł twarz.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem, ukazując wyciągniętą nogę MacAlpine'a, którego pięta najwyraźniej weszła w kontakt z zamkiem. MacAlpine i Dunnet wpadli do środka i stanęli jak wryci. Harlow, w koszuli, spodniach i butach, leżał rozwalony na łóżku, niczym pogrążony w śpią-

czce. Jego prawa ręka, zaciśnięta na szyjce butelki whisky, zwisała bezwładnie. Z niedowierzaniem na pochmurnej twarzy MacAlpine zbli-

żył się do łóżka, pochylił nad Harlowem, z odrazą pociągnął nosem i wyjął butelkę z bezwładnej dłoni. Zerknął na Dunnet, który odwzajemnił jego beznamię_e spojrzenie.

- Największy kierowca świata - powiedział MacAlpine.

- Widzisz, James, sam to mówiłeś. Oni wszyscy tak kończą. PanŚę-

tasz? Prędzej czy później tak kończą wszyscy.

- Ale Johnny Harlow?

- Nawet Johnny Harlow.

MacAlpine pokiwał głową. Obaj mężczyźni odwrócili się i wyszli z pokoju, zamykając za sobą wyłamane drzwi. Harlow otworzył oczy, w zamyśleniu potarł brodę i powąchał grzbiet dłoni. Z niesmakiem zmarszczył nos.

Rozdział trzeci

Mimo upływu pracowitych tygodni po wyścigu w Clermont-Ferrand Johnny Harlow na pozór niewiele się zmienił. Zawsze skryty, zamknięty w sobie i samotny, dalej był skryty i zamknięty, tyle że jeszcze bardziej samotny. W swoich najlepszych dniach, u szczytu potęgi i sławy, był

człowiekiem opanowanym do granic absurdu, o żelaznej samokontroli.

Teraz też sprawiał takie wrażenie - jak zawsze pełen rezerwy, obojęt-ny i odosobniony. Jego nadzwyczajne oczy (nadzwyczajne z powodu fenomenalnego wzroku, a nie urody) były jak zawsze spokojne i niepo-ruszone, a orla twarz - jak zawsze beznamiętna.

Dłonie już mu teraz nie drżały, były to dłonie człowieka, który osiągnął wewnętrzny spokój. Najprawdopodobniej jednak kłamały i nie świadczyły o niczym, wyglądało bowiem na to, że Harlow spokoju we-wnętrznego nie osiągnął i nigdy już nie osiągnie. Twierdząc, że od dnia, w którym zabił Jethou i okaleczył Mary, szczęście zaczęło stop-niowo opuszczać Johnny'ego Harlowa, popełnilibyśmy fatalny błąd ję-

zykowy. Nie opuściło go. . . raczej legło w gruzach i Johnny - a tym bardziej liczne grono jego znajomych, przyjaciół i wielbicieli - musiał

zdawać sobie sprawę, że jest to ostatecznie, absolutnie nieodwracalne.

Dwa tygodnie po śmierci Jethou - i to przed własną, brytyjską publicznością, która stawiała się niemal w komplecie, by osłodzić mu gorycz niewybrednych obelg i oskarżeń, jakich nie szczędziła mu francuska prasa, oraz by na własnym terenie zagrzewać swego idola do zwycięstwa - Johnny Harlow poznał smak zniewagi, czy wręcz poniżenia, wy-padając z toru już na pierwszym okrążeniu. Nie wyrządził krzywdy ani sobie, ani nikomu z widzów, ale jego coronado trzeba było bez reszty spisać na straty. Wybuchły obie przednie opony, toteż przyjęto, że przynajmniej jedna z nich poszła, zanim samochód wyleciał z toru; zgo-dnie uznano, że nie ma innego wytłumaczenia jego niespodziewanej wycieczki w plener. Nie wszyscy jednak zgadzali się z taką opinią

- jak można się było spodziewać, Jacobson prywatnie wyraził swoje 25

zdanie, twierdząc, że przyjęte wyjaśnienie było nad wyraz miłosierne.

Głównemu mechanikowi coraz bardziej podobał się zwrot: „błąd kierowcy”.

Dwa tygodnie później, podczas wyścigu o Grand prix Niemiec

- rozgrywanego na prawdopodobnie najtrudniejszym torze w Europie, którego jednak Harlow był uznanym mistrzem - atmosfera zwątpienia i przygnębienia, wisząca nad boksami Coronado niczym chmura gradowa, była tak widoczna, tak namacalna, że zdawało się, iż można ją dotknąć i odsunąć. . . i pewnie można by, gdyby nie fakt, że ta akurat chmura nie zamierzała dać się odsunąć. Wyścig dobiegł końca i ostatnie samochody zniknęły z widoku, wykonując pożegnalne okrążenie przed powrotem do boksów.

Przybity i rozgoryczony MacAlpine zerknął na Dunneta, który spuścił

oczy, zagryzł dolną wargę i potrząsnął głową. MacAlpine odwrócił

wzrok i zatopił się we własnych myślach. Tuż za nim, na płóciennym krzeselku z dwiema kulami pod ręką i lewą nogą wciąż unieruchomioną w grubym gipsie, siedziała Mary. W jednej dłoni trzymała notes do zapisywania międzyczasów, w drugiej zaś stoper i ołówek, który gryzła nerwowo. Wyraz jej bladej twarzy wskazywał niedwuznacznie, że jest bliska łez. Za nią stał Jacobson, jego dwaj mechanicy i Rory. Twarz Jacobsona, pomijając zwykłe zaszepienie, była bez wyrazu. Twarze jego mechaników, rudych bliźniaków Rafferty, jak zwykle wyrażały to samo, w tym wypadku mieszaninę rezygnacji i rozpacz. Na twarzy Rory'ego malowała się wyłącznie zimna pogarda.

- Jedenasty z dwunastu, którzy dojechali do mety! - parsknął Rory.

- To ci dopiero kierowca! Nasz mistrz świata wykonuje teraz rundę honorową.

Jacobson przyjrzał mu się z namysłem.

- Zaledwie miesiąc temu był twoim idolem, Rory.

Chłopiec zerknął na siostrę. Siedziała skulona, wciąż ogryzając ołó-

wiek. W jej oczach pojawiły się łzy. Rory spojrzął na Jacobsona i odrzekł:

- To było miesiąc temu.

Jasnozielone coronado wśliznęło się do boksów, wyhamowało i stanęło. Nicolo Tracchia zdjął hełm, wyciągnął wielką jedwabną chustkę, przetarł przystojną twarz i zaczął ściągać rękawice. Sprawiał wrażenie nadzwyczaj zadowolonego z siebie, ale też miał do tego pełne prawo

- na mecie zameldował się drugi, i to tylko o długość wozu za zwycięż-cą. MacAlpine podszedł do samochodu i poklepał siedzącego Tracchię po plecach.

- Jechałeś wspaniale, Nikki. Jak nigdy dotąd. . . i to na tak fatalnym torze. Po raz trzeci w ostatnich pięciu wyścigach zająłeś drugie miejsce. - Uśmiechnął się. - Wiesz, zaczynam myśleć, że będzie jeszcze z ciebie kierowca.

Tracchia uśmiechnął się szeroko i wyskoczył z samochodu.

- Zobaczysz pan następnym razem. Do tej pory Nicolo Tracchia nie stawał do prawdziwej walki, próbował tylko wycisnąć coś z tych maszyn, które nasz główny mechanik demoluje w przerwach między star-tami. - Uśmiechnął się do Jacobsona, który zrewanżował się tym samym. Pomimo wyraźnej różnicy charakterów i zainteresowań, ci dwaj pasowali do siebie jak ulał. - Ale za dwa tygodnie na Grand prix Austrii. . . hm, stać pana chyba na parę butelek szampana?

MacAlpine znów się uśmiechnął, a choć nie przyszło mu to łatwo, widać było, że to nie wina Tracchi. W przeciągu zaledwie jednego miesiąca MacAlpine - choć trudno by go było jeszcze nazwać chudzielcem - wyraźnie zeszcupłał, tak na ciele, jak i na twarzy, a jego liczne zmarszczki jakby się pogłębiły. Nie trzeba też było specjalnie bujnej wyobraźni, by dostrzec nowe srebrne nitki w jego wspaniałych włosach. I choć trudno przypuszczać, żeby te drastyczne zmiany mogła spowodować niełaska, która tak piorunująco spadła na jego supergwiazdę, to jednak równie ciężko było sobie wyobrazić inny powód.

- Nie zapominasz czasem, że na Grand prix Austrii będzie też rodo-wity Austriak? - przypomniał MacAlpine. - Niejaki Willi Neubauer.

Może ci się obilo o uszy jego nazwisko?

Tracchia nie przejął się.

- Nasz Willi może i jest Austriakiem, ale Grand prix Austrii mu nie leży. W najlepszym razie bywał czwarty. Za to ja przez ostatnie dwa lata byłem tam drugi. - Obejrzał się, gdy drugie coronado wjechało do boksów, i znów zwrócił się do MacAlpine'a: - A wie pan, kto wygrał

oba te wyścigi.

- Tak, wiem. - MacAlpine odwrócił się ciężko i podszedł do drugiego samochodu. Harlow tymczasem wysiadł, zdjął kask, spojrzął na swój wóz i potrząsnął głową.

- No, Johnny, nie można stale wygrywać. - Ani w głosie, ani na twarzy MacAlpine'a nie było śladu goryczy, gniewu czy wyrzutu, jedynie zwykła rezygnacja i rozpacz.

- Na tym wozie na pewno nie - zgodził się Harlow.

- To znaczy. . . ?

- Traci moc na wysokich obrotach.

26 2?

Podszedł do nich Jacobson. Jego twarz nie zmieniła wyrazu, gdy usłyszał wyjaśnienie Harlowa.

- Od startu? - zapytał.

- Nie. To nie twoja wina, Jake. Cholerny świat, dziwna sprawa. Ciągnął raz tak, raz siak. Przynajmniej z dziesięć razy wracała pełna moc.

Ale nie na długo. - Harlow odwrócił się i w zamyśleniu oglądał swój samochód. Jacobson zerknął na MacAlpine'a, który ledwie dostrzegł nie skinął głową.

Tego dnia o zmierzchu tor był już pusty - ostatni widzowie i personel zniknęli. Zamyślony MacAlpine stał samotnie u wejścia do boksów Coronado, z rękami wetkniętymi głęboko w kieszenie szarego garbarynowego garnituru. A jednak nie był tak samotny, jak mógł sądzić.

W ciemnościach sąsiednich boksów Cagliari ukryła się postać odziana w czarny golf i czarną skórzaną kurtkę. Johnny Harlow opanował do perfekcji sztukę trwania w absolutnym bezruchu i w tym momencie korzystał z niej w całej pełni. Wyglądało jednak na to, że poza tymi dwiema postaciami na torze nie ma żywego ducha.

Były za to dźwięki. Do boksów doleciał narastający ryk silnika i w oddali ukazało się coronado z zapalonymi światłami. Kierowca zredukował biegi, zwolnił mijając boksy Cagliari i zatrzymał się u wejścia do boksów Coronado. Jacobson wysiadł z wozu i zdjął kask.

- I jak? - rzucił MacAlpine.

- Z tym defektem to jedna wielka lipa. - Głos mechanika był naturalny, lecz jego oczy zimne. - Leciał jak ptak. Nasz Johnny niewątpliwie ma bujną wyobraźnię. To już coś więcej niż tylko błąd kierowcy, panie Macalpine.

MacAlpine zawahał się. To, że Jacobson w doskonałym czasie zrobił

jedno okrążenie, niczego jeszcze nie dowodziło. Siłą rzeczy nie był

w stanie prowadzić coronado z prędkością choćby zbliżoną do szybko-

ści osiągniętych przez Harlowa. Poza tym defekt mógł się ujawnić dopiero wtedy, gdy silnik rozgrzał się do maksimum, a było wysoce nieprawdopodobne, żeby Jacobson mógł go tak rozgrzać na jednym okrą-

żeniu. I wreszcie, te mocno podrasowane silniki wyścigowe, których cena dochodziła do ośmiu tysięcy funtów, były tworam nadzwyczaj kapryśnymi i znakomicie potrafiły ujawniać czy maskować swoje wady bez najmniejszej ingerencji człowieka.

Jacobson naturalnie wziął milczenie MacAlpine'a za przejaw zwątpienia lub nawet wyraźnej zgody.

- Może jednak zaczyna się pan wreszcie ze mną zgadzać, panie MacAlpine? - powiedział.

Milioner ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył.

- Zostaw samochód tutaj - polecił. - Przyślemy Henry'ego z chłopakami, to go zabiorą transporterem. Chodź, wracamy na kolację. Za-służyliśmy na to. I na coś mocniejszego. Na to też zasłużyliśmy. Na dobrą sprawę, przez całe życie nie zasłużyłem sobie na parę głębszych tak, jak w ciągu ostatnich czterech tygodni.

- Trudno mi się z panem nie zgodzić, panie MacAlpine.

Niebieski Aston Martin MacAlpine'a stał zaparkowany na tyłach boksów. Obaj mężczyźni wsiedli do niego i odjechali. Harlow spoglądał za oddalającym się samochodem. Jeżeli nawet przejął się wnioskami, do jakich doszedł Jacobson, lub tym, że MacAlpine na pozór zgadzał się z mechanikiem, to nie było tego widać po jego spokojnej twarzy. Poczekał, aż samochód zniknie w narastających ciemnościach, rozejrzał

się uważnie, sprawdzając, czy nikt go nie obserwuje, i wszedł w głąb boksów Cagliari. Otworzył płócienną torbę, którą miał ze sobą, wyciągnął wielką latarkę o płaskiej podstawie, młotek, dłuto oraz śrubokręt i położył je na najbliższej skrzyni. Nacisnął wyłącznik na obudowie reflektora i silne białe światło zalało wnętrze boksów. Przesunął dźwignię u podstawy latarki i natychmiast miejsce białego blasku zajęło przytłumione, czerwone światło. Harlow chwycił młotek i dłuto i energicznie zabrał się do pracy.

Do większości skrzyń i pudeł nie musiał się nawet włamywać, jako że egzotyczna kolekcja znajdujących się w nich części zamiennych do silnika i podwozia przypuszczalnie nie zainteresowałyby przypadkowego złodzieja: zapewne nie wiedziałby, czego szukać, a gdyby nawet - co było wysoce nieprawdopodobne - to na pewno nie udałoby mu się upłynnić tych części. Harlow musiał otworzyć na siłę jedynie kilka skrzyń, lecz wykonał to ostrożnie, delikatnie, starając się robić jak najmniej hałasu.

Skracał poszukiwania do niezbędnego minimum, pewnie dlatego, że niepotrzebna zwłoka zwiększa tylko ryzyko wpadki. Sprawiał wrażenie człowieka, który doskonale wie, czego szuka. Zawartość kilku pudeł

obrzucił jedynie pobieżnym spojrzeniem, ale zbadanie największej skrzyni zajęło mu więcej niż

minutę. Niecałe pół godziny od rozpo-częcia operacji zabrał się za zamykanie skrzyń. Te, których wieka musiał przedtem wyłamać, zamknął za pomocą młotka owiniętego materia-

łem, by do minimum zmniejszyć hałas i zostawić jak najmniej śladów swojej wizyty. Gdy skończył, schował narzędzia i latarkę do płóciennej 29

torby, wyszedł z boksów i zniknął w ciemnościach. Jeżeli czuł się rozczarowany wynikami inspekcji, to nie było tego po nim widać - ale Harlow rzadko kiedy okazywał wzruszenie.

Czternaście dni później Nicolo Tracchia spełnił obietnicę złożoną MacAlpine'owi, a zarazem swoje życiowe marzenia - wygrał Grand prix Austrii. Harlow, jak można się było spodziewać, nic nie zwojował.

Co gorsza, nie dość, że nie ukończył wyścigu, to na dobrą sprawę prawie go nie zaczął - przejechał zaledwie o cztery okrążenia więcej niż w Anglii. . . a miał kraksę już na pierwszym.

Rozpoczął wyścig wcale nieźle. Wystartował znakomicie, nawet jak na swoje możliwości, i z powodzeniem prowadził przez pięć okrążeń ze znaczną przewagą nad rywalami. Na szóstym zjechał jednak do boksów. Wsiadając z samochodu wyglądał całkiem normalnie - nie było po nim widać śladów strachu czy choćby zimnego potu. A jednak zaciś-

nięte w pięści dłonie wepchnął głęboko w kieszenie kurtki - w ten sposób nie można poznać, czy komuś trzęsą się dłonie, czy nie. Na chwilę wyciągnął z kieszeni jedną rękę, by odprawić ludzi z ekipy, którzy - z wyjątkiem wciąż przykutej do krzesła Mary - rzucili się w jego stronę.

- Spokojnie. - Potrząsnął głową. - Nie spieszy się. Czwarty bieg nawalił. - Ponuro spoglądał na tor. MacAlpine przyjrzał mu się uważ-

nie i zerknął na Dunmeta, który skinął głową, choć na pozór nie zauwa-

żył nawet spojrzenia milionera. Dziennikarz wpatrywał się w zaciśnięte pięści Harlowa.

- Zdejmiemy Nikkiego. Możesz wziąć jego wóz - powiedział MacAlpine.

Harlow nie odpowiedział od razu. Skinął głową w kierunku toru, słyszając narastający ryk silnika. Inni poszli za jego wzrokiem. Przed boksami mignęło jasnozielone coronado, lecz Harlow dalej patrzył na tor.

Minęło co najmniej piętnaście sekund, zanim pojawił się następny samochód - granatowe cagliari Neubauera. Harlow odwrócił się i spojrzał na MacAlpine'a. Na jego zazwyczaj kamiennej twarzy malowało się teraz jawne niedowierzanie.

- Zdjąć go? Na miłość boską, Mac, czyś ty zwariował? Teraz, kiedy ja już odpadłem, Nikki ma piętnaście sekund do przodu. Nie ma siły, żeby przegrał. Nasz signor Tracchia nigdy by mi - a raczej tobie

- nie wybaczył, gdybyś go teraz zdjął. To będzie jego pierwsze Grand prix. . . w dodatku to, które

najbardziej chciał zdobyć.

Odwrócił się i odszedł, jak gdyby sprawa została zamknięta. Mary i Rory spoglądali za nim - ona z niemym żalem w oczach, on z mieszaniną triumfu i pogardy, której nawet nie próbował ukryć. MacAlpine zawahał się, jakby chciał coś powiedzieć, lecz w końcu także odwrócił

się i odszedł, tyle że w przeciwną stronę. Dunnet ruszył za nim. Obaj przystanęli w kącie boksów.

- I co? - rzucił MacAlpine.

- Co "co"? - spytał Dunnet.

- Daj spokój, proszę.

- Chodzi ci o to, czy widziałem to samo, co ty? Jego ręce?

- Znow mu się trzęsą. - MacAlpine zamilkł na chwilę, a potem westchnął i potrząsnął głową. - Stale to powtarzam. Tak kończą wszyscy.

Nieważne, jak zimni, odważni czy utalentowani. . . A u ludzi o tak lodo-watym spokoju i żelaznej dyscyplinie jak Harlow. . . cóż, jak już nad-chodzi załamanie, to na całej linii.

- A kiedy to załamanie nastąpi?

-Myślę, że raczej szybko. Dam mu jeszcze jedno Grand prix.

Wiesz, co on teraz robi? A raczej później, wieczorem. . . nieźle się w tym wycwanił.

- Wolałbym nie widzieć.

- Strzeli sobie kielicha.

- On już sobie strzelił - odezwał się za nimi czyjś głos o silnym szkockim akcencie.

MacAlpine i Dunnet odwrócili się powoli. Z mroku pomieszczenia za ich plecami wychynął mały człowieczek o niewiarygodnie pomarszczo-nej twarzy, którego rzadkie białe wąsy dziwne kontrastowały z mnisią łysiną. Jeszcze dziwniejsze było długie, cienkie, niebywale pogniecione czarne cygaro, zwisające z kącika jego kompletnie bezzębnych ust.

Człowieczek ten nazywał się Henry i był kierowcą transportera - choć wiek emerytalny miał już dawno za sobą - a cygaro było jego znakiem firmowym. Mówiono o nim, że zdarzało mu się jeść z cygarem w ustach.

- Podśluchiwałeś, co? - powiedział sucho Macalpine.

- Podśluchiwałem! - Trudno orzec, czy ton i wyraz twarzy Henry'ego wyrażały oburzenie czy niedowierzanie, w każdym bądź razie uczucia prezentował na skalę olimpijską. - Wie pan doskonale,

panie MacAlpine, że ja nigdy nie podsłuchuję. Tak sobie tylko słuchałem. To chyba różnica, prawda?

- Coś ty przed chwilą powiedział?

- Dobrze wiem, że pan słyszał, co powiedziałem. - Henry nadal był

wspaniale niewzruszony. - Wie pan, że on jeździ jak wariat i że inni 31

kierowcy mogą się go bać. Na dobrą sprawę, już się go boją. Nie można go więcej wypuścić na tor. Facet jest postrzelony, chyba pan widzi. A w Glasgow, jak mówimy, że ktoś jest postrzelony, to. . .

- Wiemy, co chcesz powiedzieć - przerwał mu Dunnet. - Myś-

lałem, Henry, że jesteś jego przyjacielem?

- A tak, jestem, jak najbardziej. Najwspanialszy dżentelmen, jakiego znam, z przeproszeniem panów. Właśnie dlatego, że jestem jego przyjacielem, nie chcę, żeby się zabił. . . albo żeby go posadzili za zabójstwo.

- Pilnuj swego nosa, Henry, i prowadź transporter - powiedział

MacAlpine bez cienia niechęci w głosie. - A prowadzenie zespołu Coronado zostaw mnie.

Henry skinął głową i odszedł z powagą na twarzy. Szedł sztywno, jak gdyby chciał pokazać, że spełnił swój obowiązek, przekazał czarno-księskie proroctwo, a jeżeli jego ostrzeżenie zostanie zbagatelizowane, to nie on, Henry, będzie ponosił konsekwencje. MacAlpine, z równie poważną twarzą, potarł w zamyśleniu policzek i stwierdził:

- A jednak Henry może mieć rację. Na dobrą sprawę, mam wszelkie powody, żeby uważać, że Harlow jest. . .

- Jaki?

- Jest na równi pochyłej. Na mieliźnie. Postrzelony, jak by powiedział Henry.

- Postrzelony przez kogo? Przez co?

- Przez niejakiego Bachusa, Alexis. To taki jeden, który woli strzelać trunkiem niż kulami.

- Masz na to dowody?

- Nie tyle mam dowody na to, że pije, co brak dowodów, że nie pije. Na jedno wychodzi.

- Przepraszam, James, ale nie całkiem kojarzę. Czyżbyś coś przede mną ukrywał?

MacAlpine skinął głową i opowiedział mu pokrótce o swoich dwu-licowych poczynaniach. Od dnia, w którym zginął Jethou, a Harlow dowiódł braku doświadczenia tak w nalewaniu brandy, jak w jej

piciu, MacAlpine zaczął podejrzewać, że Harlow wyrzekł się hołdowanej przez całe życie abstynencji. Oczywiście, żadne spektakularne libacje nie miały miejsca, to bowiem automatycznie spowodowałyby natychmiastowe wyrzucenie go z torów - jako geniusz w unikaniu towarzysztwa, Harlow zabrał się do tego spokojnie, sumiennie, wytrwale i ponad wszystko dyskretnie, zawsze pijąc samotnie, zazwyczaj w ustronnych i odległych miejscach, co zmniejszało lub wręcz przekreślało szanse złapania go na gorącym uczynku. MacAlpine wiedział o tym, ponieważ wynajął detektywa, którego zadaniem było śledzenie Harlowa praktycznie przez okrągłą dobę, jednak Harlow albo miał wyjątkowe szczęście-

cie, albo też wiedząc, co się dzieje - nie zbywało mu na inteligencji, musiał więc podejrzewać, że jest śledzony - ujawnił swą wyjątkową przebiegłość i wprawę w wymykaniu się spod obserwacji. W rezultacie zaledwie trzy razy udało się dotrzeć za nim do źródła jego dostaw: małych Weinstuben, zagubionych w lasach otaczających tory w Hockenheim i Nurburgring. Ale nawet w tych przypadkach zaobserwowano jedynie, że niespiesznie i z godnym podziwu umiarem sączył małą lampkę wina reńskiego, która nie mogła zaważyć nawet na krańcowo wyostrzonych zdolnościach i reakcjach kierowcy Formuły I; wszystko to razem wzięte było tym dziwniejsze, że Harlow wyjeżdżał zawsze swoim jaskrawoczerwonym ferrari - najbardziej wpadającym w oko samochodem na drogach Europy. W tych okolicznościach MacAlpine uznał, że te nadzwyczajne - bardzo skuteczne - wyniki kierowcy w gubieniu

"cieni" są dowodem na to, że jego częste, tajemnicze i nie wyjaśnione wypadki mają związek z równie częstymi, samotnymi bibkami. MacAlpine zakończył relację stwierdzeniem, że do tego wszystkiego doszedł

ostatnio jeszcze bardziej złowieszczy fakt - od jakiegoś czasu dzień w dzień ma niezbity dowód wyraźnej skłonności Harlowa do whisky.

Dunnet milczał, dopóki się nie zorientował, że MacAlpine najwyraź-

niej nic więcej nie zamierza powiedzieć.

- Dowód? - zapytał. - jaki dowód?

- Zapach.

Dunnet zamilkł na moment.

- ja nigdy nic nie poczułem - stwierdził po chwili.

- Tylko dlatego, Alexis, że ty kompletnie nie masz węchu - powiedział MacAlpine łagodnie. - Nie czujesz nawet swądu płonących opon.

Jak wobec tego chcesz poczuć zapach whisky?

Dunnet przyznał mu rację skinieniem głowy.

- A ty coś poczułeś? - zapytał.

MacAlpine zaprzeczył.

- A więc?

- On mnie ostatnio unika jak zarazy, a wiesz, jak blisko się zawsze trzymaliśmy - wyjaśnił MacAlpine. - Teraz, jeśli już się do mnie zbli-

ża, to pachnie silnie miętówkami. Nic ci to nie mówi?

- Daj spokój, James. To nie jest żaden dowód.

- Być może. ale Tracchia, Jacobson i Rory zaklinają się, że tak jest.

- Och, stary, i to mają być bezstronni świadkowie? jeżeli Johnny będzie zmuszony odejść, to kto zostanie w Coronado kierowcą numer 32 33

jeden z poważnymi widokami na zdobycie mistrzostwa świata? Kto, jeśli nie nasz Nikki? Jacobson i Johnny nigdy nie żyli na dobrej stopie, a teraz ich stosunki są jeszcze gorsze. . . . Jacobson nie lubi, jak mu się rozbija samochody, a jeszcze mniej podoba mu się to, że Harlow nie poczuwa się do winy, co stawia pod znakiem zapytania kwalifikacje Jacobsona.

Natomiast co do Rory'ego. . . cóż, szczerze mówiąc, nienawidzi Johnny'ego do szpiku kości, częściowo za to, co zrobił Mary, a częściowo dlatego, że ten wypadek w najmniejszym stopniu nie zmienił jej stosunku do niego. Obawiam się, James, że twoja córka jest ostatnią osobą w ekipie, która nadal jest całkowicie oddana Johnny'emu Harlowowi.

- Tak, wiem. - MacAlpine zamilkł na moment, po czym wyznał

drewnianym głosem: - Mary pierwsza mi to powiedziała.

- O Jezu! - Dunnet z przygnębieniem wyjrzał na tor i nie patrząc na MacAlpine'a stwierdził: - Nie masz teraz wyboru. Musisz go wylać.

Najlepiej jeszcze dziś.

- Zapominasz, Alexis, że ty dopiero co się o tym dowiedziałaś, podczas gdy ja wiem o tym już od dawna. Podjąłem decyzję. jeszcze jedno Grand prix.

W zapadającym zmroku parking wyglądał jak miejsce ostatniego spoczynku monstrualnych stworów z minionej ery. Olbrzymie transportery, którymi przewożono samochody wyścigowe, części zamienne i przenośne warsztaty majaczyły groźnie w półmroku, zaparkowane bez składu i ładu. Ze zgaszonymi światłami były kompletnie pozbawione wszelkich oznak życia, podobnie jak i całe otoczenie. . . jeżeli nie liczyć postaci, która wynurzyła się z mroku i weszła przez bramę na parking.

Johnny Harlow najwyraźniej nie zamierzał ukrywać się przed wzrokiem przypadkowego obserwatora, gdyby się tam taki znalazł. Wymachując płócienną torbą, przeszedł przez parking i zatrzymał się przy jednym z olbrzymich pojazdów. Na bokach i z tyłu ciężarówki widniał

wielki napis: FERRARI. Nie tracąc czasu na sięganie do klamki, Harlow wyciągnął wielki pęk dziwacznych wytrychów i otworzył drzwi transportera w kilka sekund. Wszedł do środka, przekręcając za sobą klucz.

Przez dobre pięć minut spacerował od olma do olma po obu stronach wozu, cierpliwie sprawdzając, czy ktoś nie zwrócił uwagi na jego bez-prawne wtargnięcie do ciężarówki. Wyglądało na to, że nikt go nie zauważył. Usatysfakcjonowany wyciągnął z torby latarkę, zapalił czerwone światelko, pochylił się nad najbliższym samochodem ferrari i za-czął drobiazgowo oględziny.

Wieczorem w hallu hotelowym zebrało się ze trzydzieści osób, _wśród nich Mary MacAlpine z bratem, Henry oraz dwaj rudzi bliźniacy g_erty. Natężenie rozmów było wyraźnie odczuwalne - w hotelu zatrzymało się na weekend kilka ekip wyścigowych, a brać samochodzia-_Ca nie słynie z powściągliwości i umiaru. Całe towarzystwo - składające się głównie z kierowców oraz kilku mechaników - przebrało się

: roboczych kombinezonów w ubrania stosowne do kolacji, do której brakowało jeszcze godziny. Szczególnie rzucał się w oczy Henry, w sza-rym garniturze w prążki i z czerwoną różą w butonierce. Wydawało się nawet, że doprowadził do ładu wasy. Obok niego siedziała Mary, a nieco dalej Rory, który czytał jakieś czasopismo, a przynajmniej sprawiał

takie wrażenie. Mary siedziała w milczeniu, z pochmurną twarzą, nie-ustannie ściskając i kręcąc jedną z kul, do których była teraz przypisa-na. Nagle zwróciła się do Henry'ego:

- Dokąd Johnny wychodzi co wieczór? Ostatnio po obiedzie prawie go nie widzimy.

- Johnny? - Henry poprawił kwiat w butonierce. - Nie mam poję-

_a, panienko. Może woli własne towarzystwo. A może woli jadać gdzie indziej. Różnie może być.

Rory wciąż siedział z czasopismem przed sobą; najwyraźniej jednak _e czytał, gdyż jego oczy nie przesuwwały się ani o jotę. Widać było, że cały zamienił się w słuch.

- A może to nie tylko jedzenie bardziej mu odpowiada gdzie indziej? - podsunęła Mary.

- Dziewczyny, panienko? Johnny Harlow nie interesuje się dziew-_anti. - Henry łypnął na nią, co w jego przekonaniu miało pewnie wypaść łobuzersko w zestawieniu ze światowym przepychem wieczoro-owego garnituru. - Z wyjątkiem. . . sama pani wie której.

- Nie udawaj głupiego! - Mary MacAlpine nie zawsze była potulna jak owieczka. - Wiesz, o co mi chodzi.

- A o co panience chodzi?

- Nie zgrywaj przede mną cwaniaka, Henry!

Henry przybrał zasmucony wyraz twarzy człowieka, którego wszyscy mylnie osądzają.

- Nie jestem aż taki cwany, żeby zgrywać cwaniaka przed innymi.

Mary popatrzyła na niego zimnym, badawczym wzrokiem i odwróci-

ła się gwałtownie. Równie szybko odwrócił się Rory. Sprawiał wrażenie głęboko zamyślonego, a emocje przebijające przez jego zadumę trudno byłoby określić jako przyjemne.

Harlow, korzystając tylko z przytłumionego czerwonego światełka, zajrzał w czeluść skrzyni z częściami zapasowymi. Nagle wyprostował

się, przekręcił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał, zgasił latarkę, podszedł do bocznego okna i wyrzwał. Wieczorny mrok gęstniał, była już właściwie czarna noc, lecz żółtawy rogal księżycy, przesuwany się za postrzępionymi chmurami, rzucał co nieco światła. Dwaj ludzie szli przez parking transporterów, kierując się wprost do części zajętej przez ciężarówkę Coronado, oddalonej nie więcej niż siedem metrów od miejsca, w którym stał Harlow. Johnny bez trudu rozpoznał MacAlpine'a i Jacobsona. Podszedł do drzwi transportera Ferrari i ostrożnie uchylił je na tyle, by mieć widok na drzwi transportera Coronado. MacAlpine wkładał właśnie klucz do zamka.

- R więc nie ma wątpliwości - mówił. - Harlow nie zmyślał. Czwarty bieg nawalił.

- Kompletnie.

- Więc może on jest jednak czysty? - W głosie MacAlpine'a zabrzmiała niemal błagalna nuta.

- Różnie to mogło być z tymi biegami. - W tonie Jacobsona trudno byłoby się doszukać potwierdzenia.

- No właśnie, ano właśnie. No już, rzućmy okiem na tę przeklętą skrzynię.

Obaj mężczyźni weszli do środka i zapalili światło. Harlow, o dziwo, niemal uśmiechnięty, pokiwał powoli głową, delikatnie zamknął drzwi na klucz i wrócił do inspekcji transportera. Działał równie przezornie, jak w boksach Cagliari, w razie konieczności wyważając wieka skrzyń i pudeł na siłę, ale na tyle delikatnie, by móc je potem zamknąć bez pozostawienia śladów. Pracował szybko, w skupieniu, przerywając tylko raz, gdy usłyszał dochodzące z zewnątrz dźwięki. Sprawdził źródło hałasu i ujrzał MacAlpine'a i Jacobsona, schodzących po stopniach transportera Coronado i oddalających się przez opustoszały plac. Po chwili wrócił do pracy.

Rozdział czwarty

Kiedy Harlow dotarł w końcu do hotelu, w hallu, spełniającym także funkcję baru, nie było już ani jednego wolnego miejsca, a przy ladzie tłoczyło się kilkunastu mężczyzn. MacAlpine i Jacobson siedzieli przy jednym stole z Dunnetem. Mary, Henry i Rory nadal tkwili w fotelach.

W chwili, gdy Harlow zamykał za sobą drzwi wejściowe, rozległ się gong wzywający na kolację - był to jeden z tych małych wiejskich hotelików, celowo zresztą tak pomyślany, w którym wszyscy jedli albo o tej samej porze, albo wcale. Ułatwiała to życie kierownictwu i pra-cownikom hotelu, tyle że kosztem gości.

Goście akurat wstawali z miejsc, gdy Harlow zmierzał przez hall do schodów. Nikt nie pomachał mu na powitanie, mało kto nawet na niego spojrział. MacAlpine, Dunnet i Jacobson zignorowali go całkowicie. Ro-ry łypał spode łba z jawną pogardą. Mary zerknęła na niego, zagryzła wargę i

odwróciła się szybko. Dwa miesiące temu Johnny Harlow straciłby pięć minut, zanim udałoby mu się dotrzeć do schodów, tym razem jednak zabrało mu to niecałe dziesięć sekund. Jeżeli nawet czuł się rozczarowany doznany przyjęciem, to skutecznie ukrył konsternację.

Jego twarz była nieprzenikniona, niczym twarz drewnianej figurki In-dianina.

W pokoju umył się pobieżnie, przeczesał włosy, podszedł do szafy i z najwyższej półki zdjął butelkę whisky. Wszedł do łazienki, łyknął

niecokolwiek alkoholu i przepłukał nim usta. Skrzywił się i splunął z niesmakiem. Szklankę z prawie nietkniętą zawartością zostawił na brzegu umywalki, schował butelkę do szafy i zszedł do jadalni.

Dotarł tam ostatni. Ktoś całkiem obcy zwróciłby na siebie większą uwagę niż on. Harlow przestał być kimś, z kim należało się pokazywać.

Prawie cała jadalnia była zajęta. Przeważały w niej stoły czteroosobowe, choć stało tam też kilka dwuosobowych. Tylko przy trzech z czteroosobowych stołów były wolne miejsca. Przy dwuosobowych jedynie Henry siedział sam. Usta Harlowa drgnęły, być może mimowolnie, 37

w każdym razie tak szybko, że raczej można sobie to było wyobrazić niż zobaczyć. Johnny bez wahania przeszedł przez jadalnię i usiadł przy stoliku Henry'ego.

- Można, Henry? - zapytał.

- Naturalnie, panie Harlow - odparł Henry niczym chodząca serdeczność i równie serdeczny pozostał przez cały posiłek, bez przerwy gadając i co chwila przeskakując z tematu na temat. Harlow stwierdził, że pomimo usilnych starań nie potrafi zainteresować się wywodami ograniczonego staruszka i że z największym trudem udaje mu się dorzucić coś od siebie do steku jego komunałów. Co gorsza, zmuszony był wysłuchiwać spostrzeżeń Henry'ego z odległości mniej więcej piętnastu centymetrów, co było wątpliwym przeżyciem estetycznym, jako że nawet z odległości kilku metrów, mimo najlepszych chęci, nie sposób było uznać Henry'ego za osobę fotogeniczną. Henry uznał jednak pewnie tak bliski kontakt za konieczność, a zważywszy na okoliczności Harlowowi nie pozostawało nic innego, jak się z tym pogodzić. Panujące w jadalni milczenie przypominało nabożną, kościelną ciszę, której nie usprawiedliwiały bynajmniej rozkosze podniebienia, jakoś kolacji wyrobiłaby bowiem Austriakom wśród mistrzów sztuki kulinarnej jak najgorszą opinię. Dla Harlowa, jak zresztą dla wszystkich na sali, było oczywiste, że to jego obecność stanowi czynnik niemal zupełnie hamujący normalne rozmowy.

Henry uznał zatem, iż roztropnie będzie ściszyć głos do grobowego szepty, nie wykraczającego poza granice ich stołu, co z kolei wymagało tak bliskiego kontaktu. Kiedy kolacja dobiegała końca, Johnny poczuł niewypowiedzianą ulgę - Henry miał w dodatku nieprzyjemny oddech.

Harlow wstał jako jeden z ostatnich. Przez chwilę krążył bez celu po znów zatłoczonym hallu. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Przystanął, wyraźnie niezdecydowany, rozglądając się dookoła. W pobliżu dostrzegł Mary i Rory'ego, a po drugiej stronie sali MacAlpine'a, pogrą-

żonego w na pozór przypadkowej rozmowie z Henrym.

- I jak? - spytał MacAlpine.

Henry przybrał obłudny wyraz twarzy.

- Śmierdział jak gorzelnia.

MacAlpine uśmiechnął się lekko.

- Jesteś z Glasgow, więc powinieneś coś o tym wiedzieć. Dobra -
robotą, Henry.

Henry pochylił głowę.

- Przyjęte, panie MacAlpine.

Harlow odwrócił wzrok od tej scenki. Nie słyszał ani słowa z rozmowy, ale nie musiał. Ni stąd, ni zowąd, jak człowiek, który podjął

naprawdę decyzję, skierował się do wyjścia. Mary zobaczyła, jak wychodzi, rozejrzała się sprawdzając, czy nikt jej nie obserwuje, najwidoczniej doszła do wniosku, że nie, i wspierając się na kulach, pokuśtykała za Harlowem. Z kolei Rory odczekał z dziesięć sekund po wyjściu siostry i pozornie bez celu ruszył do drzwi.

Pięć minut później Harlow wszedł do kawiarni i usiadł przy wolnym stoliku, skąd miał widok na drzwi. Podeszła do niego młoda, ładna kelnerka, otworzyła szeroko oczy i uśmiechnęła się uroczo. W Europie niewielu młodych ludzi obojga płci nie potrafiłoby rozpoznać tego męż-

czynny na pierwszy rzut oka.

Harlow też się uśmiechnął.

- Proszę tonik z wodą.

Otworzyła oczy jeszcze szerzej.

- Słucham. . . ?

- Tonik z wodą.

Kelnerka, która w mgnieniu oka zrewidowała swoją opinię o mistrzach świata kierownicy, przyniosła napój. Harlow popijał z przerwami, spoglądając na drzwi wejściowe. Zmarszczył brwi, gdy do kawiarni weszła wyraźnie przestraszona Mary. Natychmiast dostrzegła Harlowa, pokuśtykała ku niemu i usiadła przy jego stoliku.

- Witaj, Johnny - powiedziała głosem kogoś, kto nie jest pewny, jakiego dozna przyjęcia.

- Szczerze mówiąc, spodziewałem się kogo innego.

- Co?

- Spodziewałem się kogo innego.

- Nie rozumiem. . . Kogo. . .

- Nieważne - burknął. Jego ton był równie szorstki, jak słowa.

- Kto cię tu wysłał na przespiegi?

szpiegować cię Patrzyła na niego

- Na przespiegi ? , ale na jej

twarzy malowało się niedowierzanie; najwyraźniej nic z tego nie rozumiała. - O co ci chodzi.

Harlow był nieprzejednany.

- Wiesz chyba, co znaczy słowo "szpiegować"?

- Och, Johnny! - W jej wielkich brązowych oczach odbijała się ta sama uraza, co w głosie. - Wiesz, że nigdy bym cię nie szpiegowała.

Jestem ci winien przeprosiny. - Więc skąd się tu wzięłaś?

zapytał Harlow nieco łagodniejszym tonem.

- Nie cieszysz się, że przyszłam?

- To nie ma nic do rzeczy. Co tu robisz?

- Ja. . . ja tylko przechodziłam i. . .

-I zobaczyłaś mnie, i weszłaś. - Gwałtownie odsunął krzesło i wstał. - Zaczekaj tu.

Podszedł do drzwi wejściowych, zerknął na nie i wyszedł na ze-wnątrz. Odwrócił głowę i przez kilka sekund spoglądał w kierunku, z którego przyszedł, a potem w przeciwną stronę. Jednak prawdziwym obiektem jego zainteresowania były drzwi dokładnie po przeciwnej stronie ulicy. Stała w nich jakaś postać, głęboko wsunięta we wnękę. Na pozór jej nie dostrzegając, Harlow wrócił do kawiarni, zamknął za sobą drzwi i usiadł przy stoliku.

- Niezła rzecz, taki rentgen w oczach - powiedział. - Całe okna zaparowane, a ty mnie zobaczyłaś siedzącego w środku.

- No dobrze, Johnny. - W jej głosie zabrzmiało znużenie. - Szłam za tobą. Martwię się, strasznie się martwię.

- Kto się nie martwi? Powinnaś mnie czasem zobaczyć na torze.-

Zamilkł na chwilę, po czym spytał na pozór bez związku: - Czy kiedy wychodziłaś, Rory był w hotelu?

Zamrugła ze zdziwieniem.

- Tak, był tam. Widziałam go tuż przed wyjściem.

A on ciebie widział?

- Śmieszne pytanie.

- Bo jestem śmieszny facet. Spytaj pierwszego lepszego na torach.

Widział cię?

- No. . . tak. Chyba tak. Dlaczego. . . dlaczego interesujesz się Rorym?

- Nie chciałbym, żeby mały za granicą sam wychodził po nocy i się przeziębził. . . albo dostał po głowie. - Harlow przerwał, zastanawiając się nad tym, co powiedział. - Chociaż to wcale niezły pomysł.

- Och, przestań, Johnny! Przestań! Wiem, wiem, że on cię nie znosi, nie odzywa się do ciebie, odkąd. . . odkąd. . .

- Odkąd cię okaleczyłem.

- O Boże jedyny! - Jej zrozpaczona twarz nie kłamała. - Rory jest moim bratem, Johnny, ale on to nie ja. Co ja mogę na to poradzić, skoro... słuchaj, on czuje do ciebie urazę, ale czy nie możesz mu tego zapomnieć? Jesteś najbardziej uprzejmym człowiekiem pod słońcem, Johnny. . .

- Uprzejmość nie popłaca, Mary.

- Ale i tak jesteś taki. Wiem o tym. Nie możesz mu tego zapomnieć?

Nie możesz mu wybaczyć? Jesteś na to dość wielki, więcej niż wielki.

A on to przecież jeszcze chłopiec. Ty jesteś mężczyzną. W czym on ci może zagrażać? Jaką krzywdę może ci wyrządzić?

- Szkoda, że nie widziałaś, jaką krzywdę może wyrządzić dziesięciolatek w Wietnamie, jeśli dostanie do rąk karabin.

Odsunęła krzesło. Łzy w jej oczach kontrastowały z bezbarwnym głosem.

- Wybacz mi, proszę - powiedziała. - Nie powinnam ci była prze-szkadzać. Dobranoc, Johnny.

Delikatnie położył dłoń na jej nadgarstku. Nie starała się oswobodzić ręki, siedziała jedynie ze zmartwiałą, zrozpaczoną twarzą.

- Nie odchodź - powiedział. - Chciałem się tylko upewnić.

- Że co?

- Teraz to już bez znaczenia. Zapomnijmy o Rorym. Pomówmy lepiej o tobie. - Przywołał kelnerkę. - jeszcze raz to samo.

Mary spojrzała na świeżo napełnioną szklanekę.

- Co to jest? Dżin? Wódka?

- Tonik z wodą.

- Och, Johnny!

- Może łaskawie skończysz z tym "och, Johnny. - Trudno powiedzieć, czy irytacja w jego głosie była prawdziwa, czy nie. - No więc tak. Twierdzisz, że się martwisz. . . jak gdybyś musiała o tym komukolwiek mówić, a tym bardziej mnie. Pozwól, że odgadnę twoje troski, Mary. Powiedziałbym, że jest ich pięć: Rory, ty, twój tata, twoja mama i ja. - Chciała się odezwać, lecz uciszył ją. - Możesz zapomnieć o Rorym i jego niechęci do mnie. Za miesiąc będzie to uważał za koszmarny sen. Teraz ty. . . i nie zaprzeczaj, że nie martwisz się o nasze, nazwijmy to, stosunki. One też się poprawią, ale to wymaga czasu. Zostaje jeszcze twój tata, twoja mama, no i znów ja.

Mam rację?

- Już od dawna nie rozmawiałeś ze mną w ten sposób.

- Czyli że mam rację?

Potaknęła głową w milczeniu.

- A więc twój tata. Wiem, że wygląda nie najlepiej, że stracił na wadze. Przypuszczam, że martwi się o twoją matkę i o mnie, w takiej właśnie kolejności.

-Moja matka... - wyszeptala. - Skąd się o niej dowiedziałeś?

Oprócz mnie i taty nikt o tym nie wie.

- Podejrzewam, że Alexis Dunnet może coś wiedzieć, oni są bardzo zaprzyjaźnieni, ale nie jestem tego pewien. Natomiast mnie twój tata powiedział o tym dwa miesiące temu. Wiem, że mi ufał, wtedy gdy jeszcze byliśmy na stopie przyjacielskiej.

- Proszę cię, Johnny. . .

- No, to już chyba lepiej niż "och, Johrmy". Pomimo tego, co się ostatnio wydarzyło, wierzę, że twój ojciec wciąż mi ufa. Obiecuj, że mu nic nie powiesz, ponieważ dałem słowo, że nikomu tego nie zdradzę.

Obiecujesz?

- Obiecuję.

- Przez ostatnie dwa miesiące twój ojciec był niezbyt komunika-tywny. To zrozumiałe. Nie wydaje mi się zresztą, żeby w mojej sy-tuacji miał prawo go pytać. Brak postępów, brak śladów, brak wiadomości, odkąd trzy miesiące temu wyszła z waszego domu w Mar-sylii?

- Nic. Zupełnie nic. - Nie wyłamywała palców, ale to tylko dlatego, że nie miała tego nawyku. - A zwykle dzwoniła do nas codziennie, kiedy nie byliśmy razem, pisała co tydzień, a teraz my. . .

- A twój ojciec wyczerpał już wszystkie możliwości?

- Tata jest milionerem. Nie sądzisz chyba, że mógłby nie zrobić wszystkiego, co tylko możliwe?

- Tak właśnie myślałem. No więc jesteś zmartwiona. A co ja mogę zrobić?

Mary szybko zabębniła palcami po blacie stołu i spojrzała na niego.

Oczy miała pełne łez.

- Mógłbyś mu zdjąć z głowy drugi poważny problem.

- Mówisz o mnie?

Mary skinęła głową.

Dokładnie w tej samej chwili MacAlpine nader aktywnie zajmował

się swoim drugim poważnym problemem. W towarzystwie Dunneta stał

przed drzwiami pokoju hotelowego, wkładając klucz do zamka. Dunnet rozejrzał się z obawą.

- Nie sądzę, żeby recepcjonista uwierzył choćby w jedno słowo z tego, co mu powiedziałeś - mruknął.

- No to co? - MacAlpine przekręcił klucz w zamku. - Zdobyłem klucz Johnny'ego, tak?

- A jakby ci się nie udało?

- Wykopałbym te cholerne drzwi. Raz już to zrobiłem, pamiętasz?

Obaj mężczyźni weszli zamykając za sobą drzwi na klucz. Bez słowa, metodycznie, zaczęli przeszukiwać pokój Harlowa, zaglądając zarówno we wszystkie oczywiste, jak i w najbardziej nieprawdopodobne miejsca - a liczba kryjówek w pokojach hotelowych jest wyraźnie ograniczona. Zakończyli poszukiwania po trzech minutach, poszukiwania tyle owocne, co niepokojące. Przez chwilę w niemal hipnotycznym milczeniu obaj gapili się w dół, na leżącą na łóżku Harlowa zdobycz - cztery pełne butelki whisky i jedną napoczętą. Spojrzeli po sobie, a Dunnet podsumował ich uczucia w maksymalnie zwięzły sposób:

- Jezul!

MacAlpine pokiwał głową. Rzecz niezwykła, wydawało się, że zabrakło mu słów. Nie musiał zresztą nic mówić, Dunnet i bez tego rozumiał

i podzielał jego uczucia związane z wyjątkowo nieprzyjemnym dylematem, przed którym stanął MacAlpine. Postanowił dać Johnny'emu ostatnią szansę, a oto miał przed sobą aż nadto wystarczający powód, by go natychmiast zwolnić.

- I co z tym zrobimy? - spytał Dunnet.

- Zabierzemy stąd tę cholerną truciznę, oto co zrobimy! - MacAlpine miał wzrok przygaszony, a niski głos ochryply z napięcia.

- Ależ on na pewno to zauważy. I to natychmiast. Sądząc z tego, co już o nim wiemy, zaraz po powrocie sięgnie po najbliższą butelkę.

- A kogo to obchodzi, co on zauważy, co zrobi? Co na to poradzi?

Polecą do recepcji i krzykną: "Jestem Johnny Harlow. Ktoś mi właśnie rąbnął z pokoju pięć butelek whisky!" Nic nie będzie mógł powiedzieć ani zrobić.

- Oczywiście, że nie. Ale zauważy, że butelki zniknęły. Co sobie o nas pomyśli?

- A kogo to obchodzi, co ten młody opój sobie pomyśli? Zresztą, dlaczego akurat o nas? Jeżeli to my byśmy zabrali butelki, to spodziewałby się, że ledwie wróci, zwalimy mu na łeb wszystkich świętych.

Ale on tak nie pomyśli. My nic nie powiemy... na razie. Mogła to być robota złodzieja, który podszył się pod kogoś z personelu. A tak w ogó-

le, nie byłby to pierwszy wypadek, kiedy faktycznie ktoś z personelu bawi się w drobne kradzieże.

- Więc nasz ptaszek nie będzie śpiewał?

- Nasz ptaszek nie może. Niech go cholera, cholera, cholera!

- Za późno, Mary - powiedział Harlow. - Nie mogę już jeździć.

Johnny Harlow się stoczył. Spytaj, kogo chcesz.

- Nie to miałam na myśli, i wiesz o tym. Mówię o twoim picciu.

- Ja? Piję? - Twarz Harlowa była jak zawsze kamienna. - Kto tak mówi?

- Wszyscy.

- Wszyscy kłamią.

To stwierdzenie gwarantowało zakończenie dyskusji. Łzy spłynęły z twarzy Mary na jej zegarek, ale Harlow powstrzymał się od komentarza, nawet jeśli to zauważył. Po jakimś czasie Mary westchnęła i powiedziała:

-Poddaję się. Byłam głupia, że w ogóle próbowałam. Johnny, idziesz dziś na przyjęcie do burmistrza?

- Nie.

- Myślałam, że chciałbyś mnie tam zabrać. Proszę cię. . .

- I zrobić z ciebie cierpiętnicę? Nie.

- Dlaczego akurat ty nie idziesz? Wszyscy inni kierowcy tam będą.

- Ja to nie inni kierowcy. Ja jestem Johnny Harlow, parias i wyrzu-tek. Jestem z natury delikatny i wrażliwy i nie lubię, jak nikt się do mnie nie odzywa.

Mary przykryła jego dłonie swoimi.

- Ja się do ciebie odzywam, Johnny, i wiesz, że zawsze tak będzie.

- Wiem. - W głosie Harlowa nie było goryczy ani ironii. - Zrobiłem z ciebie kalekę na całe życie, a ty zawsze będziesz się do mnie odzywać.

Trzymaj się ode mnie z daleka, mała Mary. jestem jak trucizna.

- Niektóre trucizny mogłabym polubić, i to nawet bardzo.

Harlow uścisnął jej dłoń i wstał.

- Chodźmy, musisz się przebrać na ten bal. Odprowadzę cię do hotelu.

Wyszli z kawiarni. Mary jedną ręką ścisnęła kulę, drugą zaś trzymała Harlowa pod ramię. Harlow, niosąc drugą kulę, dostosował się do kuś-

tykania Mary i zwolnił kroku. Kiedy szli powoli w górę ulicy, Rory MacAlpine wynurzył się z cienia bramy naprzeciw kawiarni. Dygotał

z zimna, lecz chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. Sądząc z wyrazu szczerzej satysfakcji na jego twarzy, myślał o innych, przyjemniejszych sprawach. Przeszedł na drugą stronę jezdni i trzymając się w bezpiecznej odległości, śledził Harlowa i Mary aż do pierwszego skrzyżowania.

Tam skręcił na prawo i puścił się biegiem.

Gdy dotarł do hotelu, już nie drżał, lecz pocił się obficie, jako że pędził przez całą drogę. Zwolnił dopiero w hallu, wbiegł po schodach na górę i wpadł do pokoju. Umył się i uczesał, poprawił krawat, spędził

kilka minut przed lustrem ćwicząc zasmucony, lecz sumienny wyraz twarzy, dopóki nie uznał, że wychodzi mu to wcale nieźle, a następnie ruszył do pokoju ojca. Zapukał, usłyszał mrukliwe zaproszenie i wszedł

do środka.

Apartament Jamesa MacAlpine'a bez wątpienia był najbardziej kom-fortowy w całym hotelu. jako milioner, Macalpine mógł sobie doga-dzać; jako milioner i jako mężczyzna nie widział powodu, by z tego zrezygnować. W tym momencie jednak Macalpine ani sobie nie doga-dzał, ani też - zagłębiony w przepastnym fotelu - nie sprawiał wrażenia człowieka napawającego się otaczającym go komfortem. Był nato-miast pogrążony w głębokich rozmyślaniach, z których otrząsnął się na tyle, by apatycznie spojrzeć na syna, zamykającego za sobą drzwi.

- No, synku, o co chodzi? Nie można z tym poczekać do rana?

- Nie, tato, nie można.

- No to wal. Widzisz, że jestem zajęty.

- Tak, tato, wiem. - Zasmucony, lecz sumienny wyraz twarzy Ro-ry'ego trwał na posterunku. - Ale muszę ci coś powiedzieć. - Zawahał się, jak gdyby krępowało go to, co miał do powiedzenia. - Chodzi o Johnny'ego Harlowa, tato.

- Cokolwiek powiesz na jego temat, potraktuję z daleko idącą rezerwą. - Wbrew zapowiedzi, na wychudzonej twarzy MacRlpine'a pojawił się cień zainteresowania. - Wszyscy wiemy, co o nim myślisz.

- Tak, tato. Myślałem nad tym, zanim przyszedłem do ciebie. - Ro-ry znów się zawahał. - Słyszałeś te historie o Johnnym Harlowie? Jak mówią, że on za dużo pije?

- I co? - spytał MacAlpine dyplomatycznie.

Rory z najwyższym trudem zachowywał nabożny wyraz twarzy; zapowiadało się na trudniejszą przeprawę, niż się spodziewał.

- To prawda. Znaczy się, że pije. Widziałem go dziś w knajpie.

- Dziękuję, Rory, możesz odejść. - Zamilkł na chwilę. - Ty też byłeś w tej knajpie?

-Ja? Daj spokój, tato. Stałem na zewnątrz. ale widziałem, co się dzieje w środku.

- Szpiegowałeś, co?

- Tylko tamtędy przechodziłem - oświadczył chłopak urażonym tonem.

MacAlpine odprawił go machnięciem ręki. Rory ruszył do drzwi, ale prawie natychmiast z powrotem zwrócił się do ojca.

- Możliwe, że nie lubię Johnny'ego Harlowa. ale lubię Mary. Lubię ją bardziej niż kogokolwiek na tym świecie. - MacAlpine kiwnął głową potakująco; wiedział, że to prawda. - Nie chcę, żeby jej się stała krzy-wda. To dlatego do ciebie przyszedłem. Ona była w tej knajpie z Harlowem.

- Co?! - Twarz MacAlpine'a momentalnie spurpurowiała z gniewu.

- Bij zabij, ale to prawda.

- Jesteś pewny?

